

# PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przeгляд Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.  
Redakcja: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.  
Administracja: Piekary 7.  
Rękopisów drobnych nie zwracamy

**Przedpłata kwartalna**  
wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracja Piekary 7), w Niemczech i Austrii 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracja, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austrii pod lit. II. t. 86. a.

**Ogłoszenia:** 20 fenigów od wiersza petytowego.

**Pojedynczy numer:** w Poznaniu 35 fen.  
pod opaską 40 fen.

## TREŚĆ.

Prasa a publiczność. I.  
Polityka: Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego p. -ski. — Przegląd prasy słowiańskiej p. D. K.  
Literatura i sztuka: O rodzinie Połanieckich p. K. Bartoszewicza. (Ciąg dalszy.) — Sans dogme p. W. — Henryk Sybel p. P. O. R. — Irlandzki Avatar p. J. Byrona (wiersz). Tom. W. Nawrocki. — Dla korony p. W. Bugiela.  
Badania naukowe: Kulturalna rola kobiety p. K. Feljton: Na Wyłomie, przez Sulę.  
Kronika literacka.  
Kronika powszechna.  
Odpowiedzi redakcyi  
Składki.  
Odcinek: Skrzywdzeni p. Maryę Komornicką. (Szkic dramatu.) (Ciąg dalszy.) — Umarł p. Laurę Marholm. (Tom. II. Erté.)

## Prasa a publiczność.

### I.

Z mileszewską sprawą łączy się jeden fakt znamiennej natury, rzucający dziwne światło na stosunek publiczności do prasy poznańskiej, — fakt, odsłaniający nie tylko próchno moralne pewnych warstw społeczeństwa naszego, lecz nawołujący energicznie tych, którzy na dziennikarskim trójnogu królami opinii się mienią, by zarzadzili sumienny rachunek sumienia i zbadali dokładnie, czy gonty i belki, podtrzymujące powagę prasy, nie zgniły. Wiadomo wszystkim, że gromy czasopism poznańskich, rzucone na kamny ziemian, pukających do wrót kolonizacji, od lat już wielu nie wywierały żadnego skutku. Wyśkakiwały one jak pioruny teatralne, lecz nie zabijały w opinii; z czasem nadomiar pojawił się w społeczeństwie zrazu eichy, potem coraz głośniejszy paradoks, że „obowiązkiem urzędowym prasy potępiania kolonizatorów, lecz słuchać głosu potępienia obowiązkiem nie jest“. Czytano z uśmiechem satyry na „kurczycieli Ojczyzny“, a ostatecznie rozgrzeszono wszystkich — pogromców i pogromionych — logicznym łapaniem: „Prasa musi krzyczyć, ale prawdą jest Bogiem krzyk ten nie wytrzymuje obiektywnej krytyki“.

W ostatnich dopiero czasach zaszedł fakt, świadczący pozornie o zwycięstwie prasy nad demoralizowaną opinią. Pod energicznym naciskiem dzienników poznańskich zadrżeli aktorzy mileszewskiej tragedji i powstał taki potężny krzyk oburzenia w każdym nieomal zakątku niedziej ojczyzny, że skruszył winowajców i ostatecznie szmat ziemi polskiej przed zagładą ocalił. Niewątpliwie jednolite i niesłychanie burzliwe wystąpienie całej bez wyjątku prasy naszej stało się poważnym czynnikiem zwycięstwa, — niewątpliwie pokłon się należy wszystkim, którzy przekleństwem i skargą bolesną cucili zdrętwiałą opinię, piętnując wy-

stępny handel ludzi, wyposażonych nędzną etyką kramarską, — ale zdaje nam się, że myli się ten, kto z tego oderwanego faktu wysnuwa ogólne wnioski o patryarchalnej powadze prasy poznańskiej i dominującym jej wpływie na społeczeństwo. A przecież na ten temat mówiono i pisano u nas nie mało, a przecież wraz z okrzykiem „Mileszewy ocalone!“ brzmiał okrzyk drugi o zwycięstwie „siódmej potęgi świata“. Jeżeli jednak zważymy, że dziennikarskie wołania o upamiętnianie trwają od lat kilku bez przerwy, jeżeli zważymy, ilekroć głos prasy przebrzmiał bez echa, jeżeli uwzględnimy dalej ową wyżej scharakteryzowaną paradoksalną ocenę wszelkich nawoływań dzienników, — to nasunąć się musi przypuszczenie, że w rozbudzeniu opinii z okazji handlu mileszewskiego jeszcze inne, nie mniej poważne czynniki odegrały rolę wybitną. Zapisać tu należy przede wszystkim fakt, że sprzedaż Mileszew w galerji typów kolonizacyjnych wyjątkowem uderza obliczem, bo tu nie „przymus materyalny“, nie „ratowanie resztek“, nie wzgląd na „zawiedzionych w swem zaufaniu i do żebraczego kija sprowadzonych wierzcycieli“, lecz najpospolitsza spekulacja była motorem kupczenia. I odbyła się ta cyniczna frymarka z takim aparatem podstępów i komedyanckiej mimiki, że musiałoby chyba społeczeństwo być z kamienia, gdyby nie znalazło gromu na aktorów mileszewskiej tragedji. A zważyć nadto wypada, że znalazły się wśród handlującej rodziny jednostki zdrowe i uczciwe, które nie zawahały się ani jednej chwili wprawić w ruch wszystkie sprężyny, aby zmazać hańbę krwi własnej, — zapominać nie wolno, że wśród tych hamulców familijnej rozpusty zjawiał się prof. Wicherkiewicz z energicznym protestem i głośnym okrzykiem: Do odwrotu! Wszystkie te czynniki współdziałały agitacji prasy i przyczyniły się do ożywienia bezdusznej opinii, — do kapitulacji winowajców. Z tego więc powodu lśniące apoteozy „zmarłych-wstającej“ powagi dziennikarstwa i „odzyskanego“ wpływu na społeczeństwo uważamy za przedwczesny optymizm, a w przekonaniu tem umacnia nas epilog smutnej awantury. Jakaż to bowiem nagroda spotkała „siódmą potęgę świata“ za jej patryotyczną akcję ratunkową, — jakież to wieniec: uwito jej za „ocalenie“ Mileszew?!

Zięciowie i córki ś. p. Ignacego Łyskowskiego, spadkobiercy zagrożonego majątku, ogłosili manifest z słowami potępienia dla prasy poznańskiej i zachodnio-pruskiej z powodu jej krytyki, obejmującej wszystkich pośrednich i bezpośrednich bohaterów mileszewskich. Odważono się rzucić obelgi w twarz dziennikarstwa za jego czyn narodowy, za mozolne gromadzenie materyałów, za budzenie uspiętego honoru, za odważne zdarcie zasłony z kupczących faryzeuszów. Skorzystano z drobnych nieściłości, opartych na logice prawdopodobieństwa, by głośnem piętnowaniem prasy odwrócić uwagę

od jądra nieszczęsnej sprawy, — od winowajców istotnych. A dziś? Dziś pono krąży wśród obywatelstwa wiejskiego manifest drugi, zawierający nowe potępienie dziennikarskich szermierzy, — manifest zaopatrzony w setki „poważnych“ podpisów. Oto wdzięczność społeczeństwa dla stróżów opinii publicznej, oto korona laurowa, wieńcząca skromie patryotycznej prasy, oto szacunek dla „siódmej potęgi świata“.

Odpowiednia krytyka takiego postępowania zaczyna się tam, gdzie parlamentaryzm się kończy. Jestto cyniczne szukanie kozła ofiarnego dla ocalenia resztek czci naszarpanej, — jestto akt brutalnej miewdzięczności dla obrońców sprawy narodowej, — jestto zuchwałstwo świadczące poniekąd o ztracie zmysłu moralnego, — ale pytamy się z drugiej strony, kto ośmielił tych ludzi, że z sztucznem oburzeniem i uśmiechem szyderstwa na twarzy rzucają tam kamieniem, gdzie błogosławić powinni, — kto winien, że powaga prasy w proch się potoczyła i uragać jej wolno bezkarnie? Uderzmy się w piersi, — nikt inny jeno prasa sama.

Podobno Kaźmierz Jarochoński, proszony krótko pozed śmiercią przez redakcyę jednego z czasopism warszawskich o napisanie krytycznej oceny dziennikarstwa poznańskiego, odparł z sarkastycznym uśmiechem: „Nie lubię biurka mojego zamieniać na prosektoyrum anatomiczne, bo nie znoszę zapachu zgnilizny“. Smutne to słowo, za ostre może, lecz ileż tam prawdy! Smutne wyznanie, a przecież złożyć je trzeba, chcąc gmach narodowy przed dalszem gniciem uchronić. Bo pomijając już ten fakt nieuchronny, że poziom intelektualny prasy naszej codziennej znacznie się obniża, a tem samem i wpływy jej kurczyć się muszą, to poziom moralny, ocena czynów i ludzi, jest tu nader często podeptaniem wszelkich prawideł uczciwości.

Rozpatrując wszystko przez pryzmat koteryi, staje się nasze dziennikarstwo najfałszywszym wartomierzem, płaszczykiem brudów niedjednych, fabryką simili-brylantów społecznych, pręgiem ludzi o najszlachetniejszych, choć odmiennie zabarwionych dążnościach. Wobec takiego zamalenia dziennikarskich krynic, wobec przedpokojowo-tapicerskiej uprzejmości dla wpływowych miernot a dzikiej prokrustowej złośliwości dla indywidualności silnych, do koteryjnego szablonu nie przystosowanych, rozprasza się szacunek publiczności poznającej w mentorach tylko siebie lub siebie w karykaturze. Tej myśli postaramy się dać wyraz w artykule następnym, a dziś do skarg i lamentów nad wybrykiem Mileszewskich rycerzy i klikki usługowej rzucamy stare, przysłowiowe Memento: „Szanujmy siebie, jeżeli pragniemy, by szanowali nas inni“.



## POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej  
zaboru pruskiego

Wobec twierdzenia niemieckich gazet górnośląskich, że księża są „urodzonymi przywódcami ludu“, a zatem wyborcy ślepo ufać im powinni, takie zamieszcza uwagi „Gazeta Polska“ (nr. 70):

„Być może, że miano urodzonych przewodników ludu pochodzi z czasów „kulturkampfu“. Walczono wówczas wspólnie w obronie drogiej nam wszystkim wiary św.; walczono o dobroć i całość opoki Piotrowej, o swobodę kościoła katolickiego, ale walczono przeciw przytem wszystkim i o własną skórę. Nie trzeba zatem przesadzać i do bohaterstwa wynosić, co było świętym obowiązkiem wszystkich. Pojedynczych i wyjątkowych czynów i zasług bohaterów nie mogą sobie wszyscy przywłaszczać. Nie wszyscy też „urodzeni“ przewodnicy objawili tę bohaterskość, jak ją objawił wszystkiemu lud. A przeciw lud nie dmie tak w te swoje zasługi i poświęcenia, jak te niemieckie gazety, które ludowi, wówczas niejednokrotnie samodzielnie i za najlepszym głosem sumienia idącemu, dziś wszelkiej samodzielności odmawiają, a na „urodzonych“ przewodników wskazują.

Dziś czasy zupełnie inne. Tak jak w „kulturkampfe“ sprawa Kościoła św. była mianowicie i w pierwszej linii palącą, tak dziś ma się rzecz ze sprawą ekonomiczną, gospodarczą, ze sprawą chleba, a przytem ze sprawą narodową, która na dobrej ekonomicznej podstawie opierać się powinna.

Dla tego nie spuszczając z jednej strony spraw Kościoła pod żadnym warunkiem z oka, nie możemy z drugiej strony żadną miarą godzić się na to, aby według życzenia niemiecko-katolickich gazet losy nasze społeczno narodowe składać jedynie w ręce wskazanych przez te gazety „urodzonych“ przewodników, bo większa część tych przewodników naszych społeczno-narodowych interesów nie zna, nie rozumie albo też rozumieć nie chce.

Kapłan w zakresie swej działalności kościelnej jest kapłanem i nikt mu też szacunku i czci przynależnej odmawiać nie chce; w polityce jest on takim samym obywatelem, jak pan, chłop, robotnik.

Urodzonym, a raczej prawowitym przewodnikiem ludu i narodu jest tylko ten, kto sercem, rozumem i czynem umiał zdobyć sobie zaufanie i wybitne znaczenie w społeczeństwie swojej narodowości, nie ten, który tę lub ową poważniejszą godność piastuje.“

Z powodu sprawy mileszewskej i odnośnego artykułu „Orędownika“ p. t. „Rozpusta w patryotyzmie“ takie wypowiada zdanie „Gazeta Toruńska“ (nr. 202):

„Jeżeli jest „berbelucha“ w społeczeństwie, wina to tych, którzy dzierżąc od lat kilkudziesięciu berło opinii publicznej, wychowali politycznie i moralnie obecne pokolenie.

MARYA KOMORNICKA.

## SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON.

Skąd ta pewność?

WANDA.

Mocą wpływu, jaki ma nademną.

LEON.

Skąd wiesz pani, że na drugich podobnie wpłynie?

WANDA.

Nie wiem, czy wpływa, wiem — że powinno.

LEON.

Ale co? Co?

WANDA.

Wielkość.

LEON.

Twego talentu?

(Wanda wzrusza ramionami.)

Głównym ich grzechem było, że „z patryotyzmu“ (!!!) osłaniali wszelkie nieczyste sprawy, patrzeli spokojnie, jak w instytucjach finansowych zaprzepaszczano lub wprost rozkradano potem i głodem przez lud z zrobione grosze, a gdy kto inny śmiały wystąpić przeciw nadużyciom, piętnowali go jako burzyciela, oszczercę, samolubę, jak dziś obrońców Mileszew. Ztąd poszło, że nie tylko kolonizatorzy, lecz ludzie karani za brudne sprawy mogli społeczeństwu prawić o patryotyzmie, uczciwości, honorze i moralności. Nie dziw przeto, że wytwarza się tu i owdzie szczególne pojęcie o moralności i honorze.

Człowiek, którego w sprawie mileszewskej wskazywano jako „mentora“ pewnej polskiej spółce, (bardzo biednej, odpisano członkom z udziałów 96 procent) winien jest przeszło 1000 marek, a od lat dziesięciu nie płaci nawet procentów. Pupil wie o niesumienności swego mentora, bo starał się uchronić go przed egzekucją, reklamując dla siebie zabrane przedmioty.

Gdzie kierownicy opinii publicznej spokojnie patrzają na podobne sprawy ludzi przyjmowanych w przyzwoitych domach, tam zaprzędanie Mileszew nie może zadziwić.

Jeżeli społeczeństwo nasze nie ma zejść na „towarzystwo zubrawców“ a potem zginąć marnie, należy z jego organizmu pousuwać wrzody i oczyścić powietrze, którem oddychamy. Ku temu powinni sobie podać rękę ludzie uczciwi wszystkich stanów, zawodów i przekonań politycznych. „Czas zawrócić, ale to na miejscu!“

Korespondent bydgoski „Dziennika Kujawskiego“ donosi w nr. 201:

„Miasto nasze zostało uszczęśliwione nową gazetą polską. Oto rozsyłano dziś na okaz „Gazetę Bydgoską“ — której redaktorem jest znany p. Stanisław Tomaszewski. W rzeczy samej jest to odbitka „Gonia Wielkopolskiego“. Trzy strony drukują się w Poznaniu, a czwarta z ogłoszeniami w Bydgoszczy. „Gazeta Narodowa“, odbitka z „Orędownika“, także będzie nadal wychodziła.“

„Goniec Wielkopolski“ (nr. 203) tak wypowiada swój żal z powodu udziału Polaków w jubileuszowych festynach sedańskich:

„Pięknych to doczekaliśmy się czasów! ani słowa! Któżby to przed dziesięciu nawet laty był przypuścił, że potomkowie tych wojowników, którzy gromili wrogów Słowiańszczyzny na Psim Polu i pod Grunwaldem — dzisiaj dobrowolnie święcą tryumfy oręża germańskiego nad katolickim narodem.

Powtarzamy, że przed laty dziesięciu, a nawet pięciu, żaden Polak w zaborze Pruskim nie byłby odważył się na to, żeby dom swój czy to wieńczyć, czy oświetać w rocznicę, która sercu polskiemu nie może być miłą — a musi być bolesną, bo przypomina, że wiele krwi polskiej znowu nie za polską przelało się sprawę — że przelew krwi tej nawet nie ulżył ucieszonemu narodowi.

Czasy dziś inne — ale gorsze, bo duch narodu zatruły, bo coraz więcej jednostek owianych duchem utylitaro-lojalnym korzy się przed molochem państwowym, zapierając się własnej idei narodowej.

To też bez wahania umieszczamy smutne nowiny, jakimi nas czytelnicy obdarzają, a niecne postęпки te poddajemy pod sąd społeczeństwa, które w gronie swem nie chce widzieć podobnych „Polaków“.

Po takiej przygrzywe bolesnej wymienia „Goniec Wielkopolski“ cały szereg miejscowości,

LEON (gorzko).

Masz mnie już pani dosyć?

WANDA.

Przypominam panu swobodę nie odpowiadania zwłaszcza na podobne pytania.

LEON.

Bądź pani lepszą odemnie i rozwiąż męczącą mnie zagadkę. Czem jesteś?

WANDA (myśli długo).

Nie wiem.

LEON (szydlerczo).

Pani nie wiesz?

WANDA.

Czy to tak dziwne? Im większa suma wewnętrznych zjawisk naszych staje się nam świadomą, tem trudniej w tym chaosie sprzeczności zdobyć się na syntezę. W pogoni za syntezą analizujemy się często.

LEON (zamyślony).

Ten sam chaos sprzeczności dostrzegam w pani... Lecz najczęściej wydajesz mi się istotą potężną, lecz ujemną...

WANDA (śmieje się).

Głodną władzy i rzucenia dusz bratnich w piekło wiecznego potępienia.

LEON (naglaco, badawczo).

A jakim jest cel pani?

WANDA (prawie namiętnie).

Żyć z jak największym napięciem, jak najwięcej czuć, pragnąć, działać! Jak najwięcej

(Wągrówiec, Międzychód, Mosina, Koronowo, Jeżyce, Gniezno), w których nie tylko jednostki polskie, lecz całe towarzystwa polskie brały udział w obchodach sedańskich.

## Przegląd prasy słowiańskiej.

„Slovenski Narod“, organ partii młodostłowińskiej takie podnosi zarzuty przeciw duchowieństwu słowiańskiemu z powodu indyferentyzmu narodowego:

„Cały świat wie o tem, że duchowni nasi redagujący „Slovenaca“ otaczają się czemś w rodzaju niedotykalności i sądzą o sobie, że wszystkie rozумы pojedli. Przytem posiadają tę zarozumiałość, iż uważają się za wyższych aniżeli ich konfratryzy w dycecyjach istryjskiej i karyntyjskiej. Nasz artykuł, w którym podailiśmy krytyce sprawiedliwej działalność biskupa lublańskiego dr. Missia i jego funkcyjaryuszów, wywołał wśród zwolenników tegoż ogromne oburzenie i sprowadził na nas straszliwe gromy. „Slovenac“ oburza się, iż chwalimy duchowieństwo nasze w Istrii i Karyntyi, a ganimy duchownych w Krainie i nazywa nasz artykuł bezwstydną napaścią na osobę księcia-biskupa.

„Duchowieństwo patryotyczne nazywa się w tym organie gladyatorami, kompromitującymi sukienkę duchową.

„Karyntyjcy i istryjańscy duchowni są rzeczywistymi opiekunami ludu słowiańskiego, wasze duchowieństwo jego demoralizatorami, którzy lud nasz uczą, iż nie są Słowiańcami, lecz katolikami.

„W Karyntyi i Istrii niema duchownego, któryby polował na tłuste prebendy. Tam księża nie zapominają nigdy, co winni sukienke duchownej, swoich przeciwników nie oczerniają, brzydzą się oszczerstwem, czego o was powiedzieć nie możemy. Mają oni nad sobą biskupów wrogich ich działalności na polu rozbudzenia ducha narodowego, którzyby nie darowali jednemu przewinienia nie licującego z ich stanem.

„W ich piersiach biją szczerze serca słowiańskie, tego nie zmienia tamtejsi biskupi oddani ciałem i duszą naszym wrogom nieprzejednanym: Niemcom i Włochom.

„Slovenac“, który jest pismem niezawisłym, ani słowem nie zganiał niesprawiedliwości i gwałtów, dokonywanych na ludzie słowiańskim i jego prawach przez tamtejszych biskupów, Kahna i Flappa.

„Niechaj nasze duchowieństwo dowie się

i najgłębiej myśleć, zawsze się rozwijać, dążyć do najwyższego stopnia duchowego rozwoju!

LEON.

Więc nie — żyć jak najpożyteczniej?

WANDA.

Żyć, jak mówiłam, to już pożytecznie.

LEON (z zadumą).

Wiele czuć, to najczęściej cierpieć.

WANDA.

Przyjmuję cierpienie w imię życia i rozwoju.

LEON.

Nielogiczne. Cierpienie jest przeciwne naturze.

WANDA.

Cierpienie jest zgodne z naturą, kiedy jest jednym z jej zjawisk.

LEON.

Lecz tamuje rozwój.

WANDA.

A jednak do pewnego czasu zdolność cierpienia i jej stopnie muszą być atrybutem, a nawet niekiedy kryterium rozwoju.

LEON.

Do czasu.

WANDA.

W którym archanioł otworzy ludzkości wrota raju, pozwalając jej za nieskończoną męką niezliczonych pokoleń używać wszelkich rozkoszy i zrywać owoce zarówno z drzewa życia, jak wiadomości.



czego spodziewać się można po organie naczelnym naszych klerykałów“.

„Srbobran“, organ Serbów, mieszkających w Chorwacyi, pisze:

„Niegdyś śpiewano u nas o „junakach i krasawicach“ w wszystkich siedmiu królestwach serbskich, dziś śpiewamy o rządach siedmiorakich, pod jakimi żyją Serbowie. Z jedynym wyjątkiem Czarnogórze i królestwa serbskiego żyjemy wszędzie pod uciskiem, w Turcyi, Bośni, Hercegowinie, Dalmacyi, Chorwacyi, Sławonii i na Węgrzech.

„W Turcyi występują przeciw nam wrogi rządy sułtańskie, w Bośni i Hercegowinie Niemcy, na Węgrzech Madziarzy, w Dalmacyi Niemcy i Włosi, w Chorwacyi Chorwaci. Mimo to biorąc na uwagę, cośmy dotychczas zdziałali, nie trzeba nam tracić odwagi. Słowacy mają wogóle 20 szkół narodowych, my ich mamy 200. Posiadamy trzy serbskie seminaria nauczycielskie, jedną wyższą szkołę dla dziewcząt, mamy dwa gimnazya klasyczne, narodowe fundusze, bogate klasztory, Matycę serbską oraz liczne instytucje finansowe.

„Posiadając takie środki moglibyśmy wiele zdziałać dobrego. Niestety organizacja nasza chłama pod niejednym względem. Stoją u nas na czele ludzie, którzy zadaniu nie dorosli. mamy na stanowiskach najwyższych ludzi niezdolnych, jak to mówią „do konja i do koplja (kopii) bojnago“. Chcąc coś zdziałać trzeba nam niejedną przeprowadzić reformę i niejedno złe naprawić“.

Czeskie „Narodni Listy“ piszą:

„Na zebraniu przedwyborczem w Orlicach rozwijał swój program dr. Podlipny, uzasadniając, iż główną zasługą stronnictwa wolnomyślnego jest, iż obalono punktacy i postawiono na porządku dziennym kwestyę państwową ziem korony czeskiej. Co się tyczy tego, jakie zajmować będą w przyszłości stanowisko Młodoczesi, na to odpowiedź jest jasna: pozostaną w opozycji do rządu, który opierać się będzie na centralizacyi i nie uzna praw korony świętochławskiej. Rozumie się samo przez się, iż nie może być mowy, aby Młodoczesi weszli w skład większości rządowej, a to tem mniej, że całkiem niewiadomo, jaką ta większość będzie.

„Stronnictwo, nakłaniające się ku zgodzie za każdą cenę, nie zdobędzie się nigdy na energią. W Czechach straciłoby ono natychmiast zaufanie u ludu. Rząd widząc, jak wytrwale bronimy naszych zasad i programu, mając to przekonanie, iż od nich nie odstępimy,

musi wobec nas zająć stanowisko jasne, albo zgodzić się na nasze żądania, albo dalej prowadzić z nami walkę“.

D. K.

„Nowoje Wremia“ o broszurze hr. Leliwy

Wydanej w Lipsku książce hr. Leliwy: „Russko-polskija odnoszenja“, poświęca „Now. Wr.“ artykuł, który rozpoczyna od zaznaczenia, że z mnóstwa cytat i dokumentów oficjalnych sądząc, autor rozporządzał najwidoczniej obfitym materiałem sekretnym, mało komu dostępnym. Wobec tego możnaby przypuszczać, że książka przedstawi obraz okrucieństw, swawoli i gwałtów, od których europejskim czytelnikom powstaną włosy na głowie: zakordonowi bowiem publiczności — według „Now. Wrem.“ — przedstawiają zazwyczaj postępowanie Rosyi względem Polaków, jako coś w rodzaju znęcania się Turków nad Ormianami. Tymczasem książka, wbrew intencyom autora — pisze „Now. Wremia“ — sprawia weale inne wrażenie:

„Odczytując długi szereg prawodawczych środków i rozporządzeń administracyjnych ruskiego rządu w stosunku do Polski i kraju zachodniego i zastanawiając się nad nimi, mimowoli zapytujemy, z kąd pojawiły się zagraniczne komentarze o mniemanych okrucieństwach Rosyan na przestrzeni 19 guberni ruskich zachodnich kresów. Rozumie się samo przez się, że prawodawcze i administracyjne działania rządu rosyjskiego w tym kraju pozbawione są sentymentalizmu; (!) lecz dla każdego nieuprzedzonego czytelnika książki hr. Leliwy staje się zrozumiałym zasadniczy i główny cel wspomnianych środków — mianowicie zaszczepienie spokoju w kraju: (!) owo zaś uspokojenie może być osiągnięte tylko jedyną drogą — niezmiennością i systematycznością środków, skierowanych ku zachowaniu politycznej jedności cesarstwa. W środkach tych możliwe są pomyłki, oddalające od głównego celu; przecie sens i znaczenie ich w oczach wszystkich, wychowanych politycznie ludzi, jest prawidłowy i sprawiedliwy“.

Wskazując w dalszym ciągu nieracjonalność takiej polityki, która karmiłaby „marzenia polityczne Polaków“, „Now. Wrem.“ mówi:

„Skoro polski naród utracił swój byt polityczny nie z przyczyn zewnętrznych, lecz wewnętrznych, wszelkie pobłażanie dla politycznych tendencyi Polaków jest zbrodnią w stosunku nie tylko do Rosyi, lecz i do całego międzynarodowego świata, ponieważ Polacy wchodzą w skład trzech potężnych, europejskich mocarstw. (!) Jeżeli w Rosyi nie wszyscy poj-

mują to dokładnie, to w Europie wiedzą dawno, co kosztują historye próby wskrzeszenia martwych ciał politycznych“.

Autor artykułu w „Now. Wrem.“ znajduje w książce pana Leliwy jeden „zuchwały fałsz“, „insynuacyę“, że Rosyanie w Polsce mają na celu widoki nie tylko polityczne, lecz i religijne:

„Ponieważ jednak autorowi brak faktów prześladowania katolików świeckich, więc wystawione są na przedni plan środki, stosowane przez rząd względem polsko-katolickiego duchowieństwa. Tu jednak przedewszystkiem narzuca się pytanie, dla czego w Rosyi, gdzie wszystkie religie, nie wyłączając niechrześcijańskich, korzystają z zupełnej swobody, (?) skargi na ucisk słycać tylko ze strony duchowieństwa katolickiego i przytem tylko polsko-katolickiego? Dawno jest wiadomem, gdzie leży węzeł wszystkich tych skarg. Śród polsko-katolickiego duchowieństwa jest wiele osób (jeżeli nie większość), nie chcących ograniczać się stosunkami religijnymi ze swojemi owieczkami, a mieszącymi się ciągle w sferę stosunków politycznych. „Da ist der Hund begraben“, i autor „rusko-polskich stosunków“ obchodzi ten punkt staranem milczeniem, dokładnie pojmując, że żaden europejski kraj — czego wybornym dowodem służyć może niemiecki kulturkampf — nie będzie ganił Rosyi za chęć zagrozenia innowierczemu duchowieństwu możności mieszaniasię do spraw politycznych. Właśnie li tylko dla tego jedynie śród polsko-katolickiego duchowieństwa dają się słycać skargi na ucisk władz rosyjskich, że tętniła w niem i tętni dotąd żyłka polityczna, że ono pod pokrywką dochowywania różnych religijnych obyczajów i t. p., wciąż jeszcze stara się przypominać polskiemu narodowi o jego minionej niezależności“.

Jest to — zdaniem „Now. Wrem.“ — starodawna polityka katolicyzmu polskiego, przeciw której bronie się musi naród, którego cerkiew nie zna, co to jest duch prozelityzmu. Artykuł swój kończy „Now. Wr.“ w te słowa:

„Należy wyznać jednak, że niektóre karty książki p. Leliwy tchną szczerością; wiemy, że w polskiem społeczeństwie powstało już kółko ludzi rozsądnych, którzy porzucaili dawne niezawiszone marzenia wskrzeszenia polskiej niezawisłości i domagają się tylko „zachowania narodowo-plemiennego życia i zabezpieczenia narodowo-plemiennego bytu“. Jeżeli należy pojmować pod tem zachowanie przez naród polski jego wiary, bytu i literatury, to na nie nigdy nie czynił zamachu ani rząd, ani naród ruski. (?) Żądamy znajomości języka ruskiego, lecz nie od Polaków tylko, a również i od Niemców

LEON.  
Może masz pani złudzenie, że się przyczyniasz do otworzenia bram rajy?

WANDA (znużona).  
Kto wie?

LEON (gorzko).  
W rajy miałabyś pani racyę bytu; byłabyś jedną rozkoszą więcej dla szczęśliwych. Lecz tutaj, na ziemi rozpaczy, nędzy i zgrzytania zębów...

WANDA (gorzko).  
Jestem świecidłem na ciele Łazarza.

LEON (gorzko).  
Więc bądź pani czemś więcej! Pani, gdybyś chciała, z swą energią i rozumem uczyniłabyś tyle!

WANDA.  
Kto wie, czy mogę być czem innem niż jestem?

LEON (niecierpliwie).  
Powinnaś chcieć!

WANDA (gorzko).  
Niech wola moja każe mi czynić to, na co mnie narzędzia... Niech wola moja odwróci energię twórczą ku pracy praktycznej, codziennej... Tego chcecie przeciw!

LEON.  
Tak!!

WANDA (gorzko).  
Wszak to nic trudnego! Jeżeli ruch przejść może w ciepło i elektryczność, dla czego

kompozytorstwo nie miałoby się zamienić w medycynę lub szorowanie rondli!

LEON (niespokojnie).  
Jam panią zranił, pani Wando!

WANDA (gorzko).  
Byłbyś dopiął swego, lecz tak nie jest. To zarzut świata... do którego ty należysz (jak do siebie) Być zabawką... z taką łatwością i na tak daleką metę, gdy wokoło tyle naglających potrzeb, wołających natychmiastowego zaspokojenia, i tyle trudu, wypełnianego w pocie czoła...

LEON (z radością).  
A! pani zaczyna myśleć jak my!

WANDA (niespokojnie).  
Kiedy ja myśleć będę inaczej, jak ja? (wstaje).

LEON (z żalem).  
Już?

WANDA.  
Kawa wypita. Pierwszy raz udało nam się pół godziny spędzić w zgodzie.

LEON.  
Więc ją przedłużmy!  
WANDA (z gorączkowo błyszczącymi oczyma).  
Będę grać!

LEON (nalegajaco).  
Kiedy znów dobrze o pani pomyślę?

WANDA (błędnie).  
Myśl pan co chcesz... nie przerywaj...

LEON.  
Czego?

WANDA.  
Tonów... chaosu tonów... (wybiega).

LEON (zgrzyta zębami).  
Talent to potwór!  
(Chodzi wzdłuż pokoju, muzyka odzywa się w dali. — Wściekle).

Gra!... Niechże gra do syta!...  
(Wchodzi Rózia — lat 14).

RÓZIA.  
Gdzie pani Wanda?

LEON (szorstko).  
Czego chcesz od niej?

RÓZIA.  
Poproszę, żeby grała...

LEON.  
Nie chcę byś słuchała!

RÓZIA (zawistnie).  
Wiem, że jej nie cierpisz! (nadśłuchuje).

Ona już gra... (zrywa się i ucieka).

LEON (patrzy za odchodzącą).  
I to także jej ofiara... (oburzony) Lecz ja słuchać nie będę! Ja się nie dam!... Przekłeta!... (wychodzi).

\*(Obszerna, pusta, biała sala; u okien pomarańczowe franki, pod ścianami naokółto białe niskie kanapy. W rogu poprzecznie postawiony ogromny fortepian. Naprzeciw ściany, której róg zajmuje fortepian, gęsto



nadbałytyckich; przecie nie znaczy to, abyśmy żądali, by Polak, Niemiec i t. p. przestał być Polakiem lub Niemcem. (?) Dobrze wiemy, że jeżeli jest to możliwe, to tylko w drodze chemicznego rozpuszczenia się małowolnej narodowości w wielolicebnej i to jedynie w ciągu wieków, oraz, że żadne środki zewnętrzne tej sprawie nie dopomogą. Przeto ograniczamy się tylko wzmocnieniem państwowych więzów Rosyi z kresami; na tej drodze powinniśmy być niezachwiani“.



## O „Rodzinie Połanieckich“.

(Ciąg dalszy.)

Zaraz dalej mówi o nim Sienkiewicz jako o człowieku „duchowo tegim raczej, niż słabym“ (I 93). „Połaniecki czuł — czytamy znowu — że po za robieniem pieniędzy musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które spełnione w sposób cny i prosty, prowadzi do uspokojenia duchowego... Od współczesnych dekadentów różnił się tem, że się nie rozluźniał w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał przecucie, że życie musi być wypełnione szeregiem prac i czynów — że prawem natury ludzkiej i przeznaczeniem... założenia rodziny i praca społeczna“ (I 95 i 96). Jeszcze później w tym samym tomie, kiedy Połaniecki posiada jeszcze wszystkie sympaty czytelnika, mówi sam Sienkiewicz o jego „istotnie niezaprzeczonej wartości“ i o jego „woli istotnie silnej, gotowej porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je“ (I 173).

Poprzestaną na tych cytatach, które stwierdzają, iż w założeniu autora Połaniecki miał być typem i charakterem dodatnim, pewnym ideałem, więcej wprawdzie realnym i zastosowanym do dzisiejszych warunków życia, więcej posiadającym wad i ułomności, niż to „wymarzonemu ideałowi“ przystało, ale też więcej prawdziwym, bardziej ucieleśnionym, niż zwykłe ideały powstałe z fikcji i fantazji autorskiej. Dalsze dzieje Połanieckiego wykazują, że ten ideał się popsuł, zamienił się w typ i charakter ujemny, a co najmniej w miernotę, w zwykłego filistrę o poziomych pragnieniach i ciasnych

pojęciach. Autor go poświęcił dla Zawistowskiego, Castelki, Broniczowej i dopiero przy końcu spostrzegł jak z bohatera jego spadły wszystkie idealne osłonki. Chciał złe naprawić, chciał go wytłumaczyć, uniewinnić przed samym sobą, czytelnikiem i Marynią. Z tą ostatnią poszło mu najłatwiej, bo naprzód miłość jest ślepą, a następnie Sienkiewicz ukrył przed Marynią wiele z tego, o czem wie czytelnik; co do Maszkowej np. miała ona tylko chwilowe podejrzenie — a to, że oszczędził jej Sienkiewicz dowiedzenia się prawdy, należy do bardzo artystycznych i ratujących całą sytuację pomysłów. Ale z czytelnikiem sprawa nie tak łatwa i nie pomogą już zaręczania autora, że Połaniecki „był człowiekiem zasad“ (III 380), że „wyrobił w sobie zasady, miał je“ (III 210), że posiadał „pracowicie dźwignięty duchowy dom, w którym mieszkał“, a w którym określony był jego „stosunek do Boga, do społeczeństwa“ (III 179). I dziwnym doprawdy się wydaje jeden z ostatnich ustępów powieści, w którym Sienkiewicz tak pisze o Połanieckim: „Pamiętał jeszcze za czasów swoich belgijskich, że nawet tam w Belgii dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyło od najpotężniejszych maszyn. A pod tym względem liczył na siebie — i mógł liczyć. Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało“ (III 488). Chyba to jakiś inny Połaniecki, bo na tego, którego znamy, nikomu liczyć nie radzę. I Marynia z pewnością, na nim się przeliczy — nawet jednorocznej gwarancji dać za niego nie można, bo całkiem popsuta w nim maszynerya moralna.

W streszczeniu zapatrywań samego Sienkiewicza na bohatera leży i odpowiedź na twierdzenie, że Połaniecki, choć się może nie podobać, jest sam dla siebie typem i charakterem skończonym, czyli, że jest konsekwentnie przeprowadzonym. Inny całkiem na początku, inny w środku powieści, innym był w założeniu, innym jest w wykonaniu. Żadne nadzwyczajne wypadki, żaden zbieg okoliczności nie tłumaczy jego wykołajenia się a później sztucznego i nagłego powrotu do swoich dawnych „zasad“ i do swego dawnego charakteru. Jest chyba konsekwentnym w niekonsekwency. I pod tym względem stanowi dobraną parę z Marynią.

Tak, bo ta Marynia, budząca z początku zajęcie, przedstawiająca się jako rzadki materiał na inteligentną kobietę — obywatelkę, wyszedłszy za męża staje się najpospolitszą w świecie istotą. Już z pierwszych krotek powieści wiemy, że całe gospodarstwo w Krzemieniu polega na jej głowie. Mówi z Połanieckim roz-

śadnie i serdecznie, ale przychodzi jej zaraz na myśl, że ze względu na cel jego przybycia, serdeczność jej może być poczytaną za wyrachowanie. Dobrze zrozumiana ambicja każe jej być chłodną dla Połanieckiego, a czyni to nie bez pewnej walki ze sobą samą. Stosunek jej do ojca nadzwyczaj szlachetny; zna jego wady, burzy się często z ich powodu jej umysł i serce, ale ani na chwilę nie zapomina o obowiązkach nie tylko dobrej, ale najlepszej córki. Kiedy Połaniecki ją obraża, zachowuje się z godnością, choć pełna jest w duszy upokorzenia i niemał rozpaczy. Przebacza jednak obrazę, składając winę postępowania Połanieckiego na jego złość i wierząc w jego dobre serce. To też straszego doznaje rozczarowania, kiedy Połaniecki sprzedając swej wierzytelności staje się przyczyną utraty Krzemienia. Znowu jest pełną godności i dumy dziewczyczej, kiedy spotyka się z Połanieckim w Warszawie. Z niezwykłym mistrzostwem i znajomością serca kobiecego pozbiarał Sienkiewicz rysy psychologiczne tej dziwnie dotąd pięknej i zawsze będącej w zgodzie ze swym sumieniem i uczuciem postaci. Nie razi bynajmniej flirt, jakiego używa względem Maszki. Piękną jest, kiedy odrzuca jego oświadczenia, pomimo, że w danej chwili wierzy w jego szlachetność i bezinteresowność, a odrzuca jedynie dla tego, że mu serca dać nie może. Jest pełną poświęcenia, kiedy pielęgnuje Litkę. Dla romantycznych dam i panien jedną z najpiękniejszych scen w belletrystyce polskiej pozostanie ta, w której umierająca Litka odbiera od Maryni przyrzeczenie, że pokocha „pana Stacha“ i wyjdzie za niego. To przyrzeczenie bierze Marysia na seryo i uważa się za narzeczoną Połanieckiego. Jako mniemana i jako prawdziwa narzeczoną jest również sympatyczną, niema w niej nic przesady, wciąż jest szczerą i naturalną. Razi dopiero, kiedy jako dziecko skacze z radości na wiadomość, że wyjedzie do Włoch w podróż poślubną; tej poważnie na świat patrzącej, zdolnej do pracy i poświęceń Maryni, nie jest do twarzy ta nadmierna uciecha. Po ślubie przestaje być sobą, ginie jej energia, trzeźwość, ambicja, giną poważne cele życia, których zrozumienia przez nią mieliśmy prawo się domyślać. Odtąd Marynia myśli tylko, czy Stach ją kocha; po za jej uczuciem dla męża cały świat już dla niej nie istnieje. Raz z odcieniem smutku powiada, że „powszedniejszą tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego, tylko kochać“. I jest w tem powiedzeniu zupełna słuszność, jeżeli to kochanie zamyka się w ciasnym obrębie przywiązania do męża. Na taką miłość zdobywa się połowa kobiet, wychodzących za mąż z przywiązania, które się też może za to

obok siebie cztery weneckie okna, przez które widać olbrzymi park; rozległa łąka, stare drzewa, gęszczone krzewów; dalej w słońcu mieni się i iskrzy jezioro. U wysokiego sufitu kilkunastuścioramienny kandelabr. Zachód słońca nad jeziorem, cała sala zalana światłem, kandelabr mieni się złotem i barwami tęczy, zapalonemi przez słońce w kryształowych, pryzmatycznych jego ozdobach. Portecian wolny od słońca. Złoczone drzwi prowadzą do pokoju Wandy (naprzeciw weneckich okien). Ze wszystkich stron, prócz tej, okna).

WANDA (przerzywa grę, spogląda oślniona ku weneckim oknom).

Jak tu oślepiająco jasno! (odrywa ręce od klawiszów). Przed chwilą znużona rozmową, uczułam gwałtowną potrzebę usłyszenia się... a teraz... (splata ręce z tyłu czaszki). Tu za jasno, tonom w mej duszy za jasno. Światło zalewa je łagodnie i odurza... Gdyby tak położyć się na trawie i z przymkniętymi powiekami zwrócić twarz ku słońcu... (gorzko) patrzeć w słońce rozwartą źrenicą nie wolno... Niekiedy na chwilę! A potem, po oderwaniu się od niego, wszędzie ciemno i lzy stają w oczach... Tych, którzy słońcu pragną spojrzeć w oko płomienne, słońce oślepia; a ziemia zakrywa się przed nimi: nie mają ni ziemi, ni słońca!... (po chwili) Z głową ku ziemi schyloną, z łamiącym się w zgięciu krzyżem trzeba nam wykopywać glisty... Niech nam słońce grzbić ogrzewa, jeżeli chce... Lecz wyprostować się całą wysokością i ramiona i czoło podnieść ku niemu i wlepić weń oczy nie wolno!... (po chwili gorzko). Bo nas obchodzić powinny tylko

jego promienie... Co nam do tego, co w niem się pali, że, dochodząc nas po przez miliony mil chłodu i próżni, przepala nam jeszcze czaszki, że rewirując w tak bezmiernem oddaleniu, jeszcze nas oślepia? myśmy ludzie tylko; dla czego „tylko“? Wszak to może najwyższy stopień, osiągnięty przez naturę?... prawda, ludzie chcą być „tylko“ ludźmi! Więc zajmować nas powinno tylko działanie gwiazd ognistych względnie do nas... i to, co nam dać mogą. Czem są same, na co to wiedzieć? swieciła!... O tyle coś warte, o ile do życia ziemię budzą; że są piękne, mniejsza o to; piękno jest zbytek, nie potrzebą; jakby pojęcie potrzeby nie było rozciągnięte w nieskończoność!... Ze są ogromne, cóż z tego?... Gdyby były mniejsze a proporcjonalnie bliższe, byłoby to samo. Ze są bezmiarem ognia, że to, co tutaj na ziemi jest twardem, tam w postaci obłoku unosi się nad gorejącą otchłanią, że to, co na ziemi jest nieocenionem, tam gra rolę wiorów, trzeszczących w niewygasłym ogniu... co nam do tego?... To nie przynosi korzyści!... (po chwili gorzko) Zamknij, człowieku, oczy na słońce, bo świat od ciebie żąda pracy kreta!... (wybuch) Jaskółko, przestań swą powietrzną wędrówkę! Choć masz skrzydła do lotu, choć wszystko w tobie jasno mówi o twem przeznaczeniu, zgwałć swą naturę, stań się ptakiem domowym, nie wlatuj wyżej od grzędy i znoś co dzień jaja! Tylko jako kura

możesz być pożyteczną! (zaciska pięść przed sobą) Kretyni! (chwytuje się za głowę) Oni są barbarzyńcami, nie pojmującymi różnorodności natury ludzkiej i, odpowiednio, różnorodności jej praw. Oni są dotknięci nieruchomością źrenicy, przeszkadzającą im patrzeć wokoło i ucząc ich zrzucania wszystkiego, co nie leży w prostym przed nimi biegnącej, wypięzanej przez nich brudzie! Oni są przedstawicielami despotycznej pospolitości, wyklinającej w imię bezpożyteczności społecznej wszystkich, porwanych po za jej szablon!... Oni są... (gwałtownie) Oni są... (uspakaja się, szyderczo) światem! (kładzie ręce na klawisze, patrzy w górę nachmianym wzrokiem) Będę grać! Cały świat stopię na dźwięki! Wszystkie męki, wszystkie rozkosze, ogromny zamęt porywów i namiętności, dążeń tytanicznych i bezbrzeżnych rozpaczy oddam tym... którzy mnie pojmą, dziś czy kiedyś, gdy mnie nie będzie... tym, którzy jak ja będą silnie napiętą i gwałtownie życiem drgającą struną! (zakrywa twarz dłońmi) Więc gram, by panować!... (śmieje się szyderczo) Co ja stwarzam?... Rzucam światu nadmiar dźwięków! Gram... bo dusza moja gra mi nieustannie, bom ja całą symfonią tonów! Bo świat cały jest dla mnie nieskończonością tonów, bo muzyką jest wszystko we mnie, ból i rozkosz, myśl i marzenie! Bo muzyką jest wszystko wokoło mnie... Światło słońca gra... dusze ludzkie grają!... Gra cień, wijący się za mną



cenic, ale nie stawia się ich na piedestale. I cóż w tem dziwnego, że Marynia kocha swego Stacha? Podobal jej się, przyglęła do niego, jest młody, przystojny, dzięki jemu posiada wszelkie wygody życia, wierzy w jego mądrość i wielkość, czuje dla niego wdzięczność — czemużby go nie miała kochać? Ale ta ciągła, nieustająca odmiana: „kocham, kochasz, kocha“, jest ckliwą i mogłaby nie występować na zewnątrz tak często i monotennie. Mimo całego szacunku dla miłości małżeńskiej, pragnęłoby się w Maryni dojrzeć coś więcej nad naiwne zakochaną w swym mężu żonę. Pragnęłoby się, aby umiała, wypełniając obowiązki dobrej żony, wybiedz myślą po za ciasne sfery swego saloniku i sypialni, bo wszak na świecie jeszcze wiele innych rzeczy i spraw, które miłować potrzeba, bo komu los zapewnił i byt i szczęście domowe, ten większy od innych ma obowiązek przykładać się do ogólnego dobra. Tymczasem Marynia kocha Stacha i nieźle się bawi. Po za tem nic. Nawet owa jej pracowitość utonęła gdzieś w fali uwielbienia dla Stacha. Całem jej marzeniem, aby mu się podobać mogła, ztąd się uśmiecha i rozpromienia, kiedy patrzy w lustro po przebytej słabości i widzi, że jest ładna. Mimowoli przypomina się Anielka z „Bez dogmatu“. I w tamtej przeważa uczucie, ale o ile wyższe, szlachetniejsze, z jakim dramatem życia połączone; dla Anielki ma się cześć głęboką, o Maryni można jedynie powiedzieć: dobra, ładna żonka.

Wogóle porównanie tych dwóch powieści wypada zawsze na niekorzyść „Rodziny Połanieckich“. Płoszowski i Anielka to typy wykończone artystycznie do najwyższej doskonałości — nie z niemi równać się Połanieckiemu i Maryni. Nie równać się Maryni i z Madzią, bohaterką „Emancypantek“ Prusa. Obie one mają posiadać najszlachetniejsze odcienia kobiecości, ale choć Madzia może słusnie gniewać za daleko posuniętą naiwnością, ileż w niej zapału do piękna, dobra, jaka chęć pracy dla społeczeństwa... Tego wszystkiego niema w Maryni; ona oprócz Stacha kocha jeszcze Krzemiń, ale to przywiązanie oparte jest wyłącznie na motywach przyzwyczajenia do miejsca i własnej przyjemności. Jeżeli Madzia wyjdzie za Solskiego, to biedni zyskają orędowniczkę, chorzy pocieszycielkę, uczący się dobrodziejkę, społeczeństwo obywatelkę. Madzia to brylant społeczny, Marysia pieścidełko dla męża.

Taką jest para bohaterów — a po przyjrzeniu się jej nasuwa się pytanie: czem sobie zasłużyły takie miernoty, aby europejskiego już dziś rozgłosu powieściopisarz poświęcał trzy wielkie tomy na skreślenie ich przygód miłosnych, czem sobie zwłaszcza zasłużyła na to

ten wspólnik domu komisowego, ten prosty groszorb i zjadacz chleba, człowiek małej inteligencji a wielkiej zarozumiałości, niskich instynktów a wysokich pretensji do świata, aby mu dał szczęście i bogactwo? I świat mu je daje za niezasłużone zasługi. Powie ktoś, że tak bywa, że karyerowiczom i filistrom zazwyczaj lepiej się powodzi, niż ludziom zasad, pracy, szlachetnych aspiracji. To prawda, ale czyż należy sankcjonować przy pomocy sztuki te niezdrowe stosunki? Czy artysta ma być tylko zwykłym fotografem zdejmującym portrety każdego, kto przyjdzie do jego pracowni? Czy Sienkiewicz wśród własnego społeczeństwa nie mógł już znaleźć bohatera zbliżonego więcej jeżeli nie do ideału, to przynajmniej do przeciętnego typu i charakteru człowieka, mającego dobrze w głowie i w sercu. Czy może chciał powiedzieć, że jużemy tak upadli, że i ci, których mamy „za tegich duchowo i fizycznie“, dobrych, szlachetnych, żądnych pracy społecznej, ludzi silnej woli i zasad, „istotnie niezaprzeczonej wartości“ — grają tylko przed nami komedią, ludzą fałszywymi blaskami. Zapewne Sienkiewicz nie chciał tego dowiedzieć, a jednak na chęć taką z jego strony wygląda, a wygląda dla tego, że pierwotny plan jego powieści zepsuł się i skrzywił, a wraz z nim zepsuła się i skrzywiła para bohaterów.

Ale za to powieść posiada całą galeryą drugorzędnych typów, skreślonych z niepospolitym, imponującym talentem. Są to wszystkie postacie, z którymi spotykamy się codziennie prawie w życiu, nie zwracając na nie prawie uwagi. Ale żeby tacy zwykli, często aż nadto zwykli ludzie, ze zwykłymi namiętnościami, ze zwykłymi śmiesznościami i najpospolitszymi aspiracjami, mogli nas zająć, potrzeba mieć sienkiewiczowski dar ich wprowadzenia przedstawienia i oświetlenia. Często jedna scena, jedna rozmowa, parę frazesów wystarcza Sienkiewiczowi, aby czytelnik przejrzał na wskroś charakter i usposobienie postaci, choćby na chwilę dla ożywienia jednej tylko sceny wprowadzonej.

Na pierwszym miejscu pod względem piękności postawić należy Litkę i Emilię; może obie są nieco niezziemskie, zbyt eteryczne, ale dziwnie chwytają za serce i ta matka żyjąca tylko życiem na śmierć skazanej dziewczyny i to przedwczesnie rozkochane, a raczej rozmarzone „kociątko“. Trzeba było wielkiej artystycznej miary, aby stworzywszy taką postać jak Litka, nie przeciągnąć zanadto struny prawdopodobieństwa; trzeba mieć nadzwyczajny dar władnięcia umysłem czytelnika, aby nie spostrzegł, że przepiękna jako pomysł scena połączenia Połanieckiego z Marynią przez Litkę na łożu śmierci jest tworem czystej, oderwanej

od stosunków życiowych fantazyi. Całe otoczenie tych dwóch postaci z wyjątkiem Maszki, jest na wskroś sympatyczne. Tacy Bigielowie, ludzie obowiązku i pracy, mogliby dla Połanieckich być przykładem; oboje nie analizują uczuć, nie filozofują, a mają w sobie pełno serca i miłości. Bigiel więcej sobie zawdzięcza niż Połaniecki, a nie pozuje, niema w nim dumy z niepełnionych „czynów“; są to ludzie prości, bardzo zwykli, ale też za takich uchodzą, takimi się przedstawiają i nikt do nich pretensji mieć nie może, że nie wyrastają ponad głowy. Pokrewny Płoszowskiemu Bukacki jest nieoceniony ze swoją ironią, z nieustannymi drwinami ze świata i ludzi; domyślamy się, iż jego dekadentyzm nie powstał bez przyczyny, a wiemy, iż pod maską zgryźliwego humoru bije w nim serce, bądź co bądź poczciwe, iż kpi więcej dla tego, aby nie wyjść z sprawy, aniżeli z przekonania. W towarzystwie tem jest jeszcze jedna postać, która wciąż występuje aż do końca powieści, zbyteczna w niej wprawdzie, bo jako całkiem oderwana nie wpływa zupełnie na akcję, ale bezwarunkowo jedyna w całej powieści, co ma swoje prawdziwe szersze ideały. Jest to profesor Waskowski, mistyk, wierzący w odrodzenie społeczeństwa przez chrześcijaństwo i w posłannictwo „najmłodszych Aryów“. Mogą się komuś te ideały niepodobać, może z uśmiechem spoglądać na Waskowskiego, namawiającego do czytania życia św. Franciszka z Assyżu (sam Sienkiewicz nazywa go dziwakiem i nawet lekko go ośmiesza), ale każdy przyzna, że ten człowiek, uważając się za atom olbrzymiego ciała, odczuwa jego boleści i pragnienia. Jego głowa i serce pracują dla odrodzenia ludzkości, a czy ta praca spotka się z szyderstwem czy z uznaniem, czy kierunek jaki obrał prowadzi lub nie do celu, zawsze cieszyć się należy, że są jeszcze ludzie charakterów i wyższych aspiracji, którzy nie porzucają swych ideałów dla własnej wygody i dobrego trawienia.

Chciałoby się takim widzieć Zawistowskiego, poetę, marzyciela, drugiego bohatera „Rodziny Połanieckich“. Ale Sienkiewicz z postaci tej nie wykrzesał takiego ognia, któryby mógł zapalić. Jest to wrażliwa artystyczna natura, mieszanina egoizmu, fantazyi i tkliwości niemal kobiecej. Pani Aneta nazywała go „orłem“ ale wątpić należy, czy różnobarwne skrzydła jego muzy zdolne były do orlego polotu. Zawistowski kocha się i pisze wiersze miłosne. Sienkiewicz zaręcza, iż „język jego miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego giał się posłusznie i przybierał najsubtelniejsze kształty“. Być może, ale przyglądając mu się w powieści podejrzywamy, iż w jego poezjach

wieczorem, i niebo gra gwiazdami, księżycem i bezmiarem! Bo ogromnym chórem dla mnie jest wszechświat zewnętrzny i wszechświat mej duszy, ogromnym... nieuchwytnym... co chwila trywanym, nie kończącym się nigdy i nigdy nie rozpoczętym, nieskończonym chórem! (*podnosi twarz natchnioną*) Gdy w tym bezmiernym chaosie chwycę ton jeden, z potężnej, bez końca ni początku pieśni, zwrot jeden, — gdy wzburzonej fali niespokojnego oceanu tonów, w którym mnie pograżono, wyrwę chwilowy kształt jednej fali i rzucę go światu... gdy rzucę ten jeden pył nieśmiertelny, porwany moją dłonią wiecznie w mrok mknącemu i wiecznie z cieniów napływającemu, szczeremu do marnotrwstwa prądowi dźwięków... tworzę!... Ułowiam cząstkę ogromu, zalewającego mnie. bez innej żądzy, prócz zalewania, zachwycania mnie... z wspaniałomyślnością bogów, którzy więcej mają, niż dają, choćby wszystko dali!... (*podnosi w górę ręce i oczy*) Lecz ja za ciebie pragnę, ogromie. Chęć, byś zalał świat, jak moją duszę! Jak duszę moją zachwycił i upajał świat! Byś rozbrzmiewał w nieskończoności i na wieki wypełniał bezmiar przestrzeni pomiędzy gwiazdami! Ja ci chęć świat dać, potęgę!... Chęć, byś światy tak drgał w twem objęciu, jak moje serce! Byś niemi tak wstrząsał jak memi nerwami! (*przerzywa*) Gdybyś ludzi był wypiał swem dzikim szaleństwem i łagodnym smutkiem niezbadanej tajemnicy... gdybyś im,

jak mnie, kazał był rozpaczać i wybuchać siłą, gdybyś, jak mnie, był ich oczyścił z brudów i pyłu... jak mnie dał im patrzeć i czuć dalej, niż sięgają wzrok i myśl świadoma... przebijając martwą lub leniwą powierzchnię życia, by sięgnąć do jego wrącego, roztopionego jądra... Gdybyś ich był, jak mnie, przetopił w ogniu swych płomiennych hymnów, jak mnie, rozwinął dziką rozpaczą wicherów... jak mnie, dał prawdziwe pojęcie szczęścia i rozkoszy w szepecie tych gorąco-cichych pieśni, gdybyś ich nauczył czuć tak silnie, rozlegle i głęboko jak mnie, dziecko twych wybuchów... gdybyś, jak mnie, był ich ukochał i stworzył... (*zadumana*) byliby innymi... (*żywiej*) ...Gardziliby robactwem, żywiąc się w mule i nie pytali, co za korzyść z ciebie! I nie szarpaliby się między sobą... nie zabijali o to, co myśli nie warte... Nie wyrwałyby sobie wnętrzości, by gotować z nich rozkosz dla swego podniebienia... nie czciłiby tego, co godne tylko śmiechu i pogardy, nie gardziliby tem, przed czem klęknąć trzeba!... Nie krzywdziliby się tak okropnie, ciało i dusz nie deptali... Upajaliby się wspólną, doskonałą rozkoszą... Zyliby ognistą treścią, płomiennem wnętrzem życia!... (*jak do wizji*) Graj nam, ogromie potęgi! życia! piękna! Gdy ja cię usiłuję odtwarzać, oni, poddając się twemu czarowi, buntują się przeciw niemu, bo nie ciebie widzą, wybuchającego przezemnie, narzędzie twoje, lecz mnie samą! I nienawi-

dząc mnie, uciekają od ciebie, bo im się zdaje, że ja ich ujarzmiam, że mojemu urokowi się poddają! I nienawidzą... może słusnie?... Za wszechwładzę człowieka nad człowiekiem, za opętanie dusz przez duszę! (*coraz namiętniej*) Daj się ogarnąć! Daj się rozwikłać! Potęgo! schyl ludzkie głowy przed sobą! Zabierz ich sama! Graj sama, bo w końcu i ja bluźnić ci będę, złudzeniem, że nie ty duszę moją, lecz ja posiadam ciebie! Zdrzucz mnie jednym potężnym akordem i niech moje rozbite jestestwo wśród mąk konania da ci ujście aż pod niebiosy! Graj sama! Rozbrzmiewaj sama, by świat ci nie bluźnił i ja ze światem!... (*Słońce gasnie, szary mrok zapada — pochyla głowę; gorącym szeptem*) Co mi ty mówisz? Posłyszec nie mogę... Czego ty chcesz odemnie?... (*Dotyka palcami k'awiszów i zaczyna cicho, coraz namiętniej, wreszcie wybucha burzą rozpacz*).

(*Mrok zapada; — Leon ukradkiem wchodzi i siada w kącie po za Wandą; — ku koncowi ukazują się Różia*).

WANDA (*w chwili najwyższego zapału — odrywa się nagle i wstaje od fortepianu — z rozpacz*).

Piekło!...

(Ciąg dalszy nastąpi).



było wszystko, oprócz siły i potęgi ducha. A jestto właśnie to, czego najwięcej zaczyna brakować naszej „najmłodszej“ poezji: forma zabija treść, muzyka dźwięków zastępuje muzykę myśli, oryginalność polega na dyletantyzmie naukowym, naśladowaniu niezdrowych prądów i na wmwianiu poetów samych w siebie, zwątpienia, rozpacz, przesytu. Do tej kategorii zdaje się należał Zawistowski — postać zatem prawdziwa, ale nie budząca zajęcia. I żal nam, że nawet w powieści nie możemy się spotkać z młodym poetą, co unosi, porywa, co każe wierzyć w swój zapał, w swą wyższość i w swe posłannictwo.

Za to Lineta Castelli jako figura powieściowa, należy do najlepszych kreacji Sienkiewicza. Jest nowa, wysoce oryginalna, usprawiedliwiona psychologicznie. Głaz i mimozza w jednej osobie, posągowa i namiętna, artystka i komediantka, uśpiona królowa in instyktami pokojówki, przedstawiała zapewne niemałą trudność do pochycenia. Trzeba było niezwykłej artystycznej miary, aby z tych sprzeczności temperamentu i pojęć, z jakich się składa Lineta, stworzyć postać bądź co bądź jednolitą a prawdziwą.

K. Bartoszewicz.

(Dokończenie nastąpi.)

## „Sans dogme“.

Paryż w sierpniu.

Przeszło pół roku temu zawiadomił „Kraj“ swoich czytelników, że niebawem wyjdzie u Levego w Paryżu „Bez dogmatu“ Sienkiewicza we francuskim tłumaczeniu. Wiadomość ta pojawiła się odtąd co chwila w rozmaitych dziennikach, to francuskich, to polskich; niektóre dodawały, że Paweł Bourget przygotowuje przedmowę do Sienkiewiczowskiej powieści. Zapowiedzi powtarzały się peryodycznie, książka nie ukazywała się w druku.

By sprawę wyjaśnić, dowiedzieć się stanowczo, czy i kiedy oczekiwać można jej wydania, udałem się przed dwoma tygodniami do zakładu Calamanna Levego. Objasniono mi, że skoro tak dzienniki donoszą, wyjdzie oczywiście książka niebawem, w żadnym jednak razie nie wyjdzie w lecie. To pora najgorsza, Paryż wyludniony, i wydana w tym czasie książka przejśćby mogła nieopatrzenie, stracić urok nowości, nim powrócą z letnich wycieczek ludzie nowości żądni. Nie chciałem się zadowolić tak ogólnikowymi danymi, odesłano mnie więc do pana Weila, który w zakładzie wyda-

wniczym Levego pełni służbę „informatora prasy“.

— Powieść Sienkiewicza? „Bez dogmatu“? proszę się chwilę zatrzymać, muszę się dowiedzieć — i p. Weil, zasięgnąwszy języka, poinformował mię, oświadczając stanowczo, że dom Levego nie otrzymał dotąd żadnej powieści Sienkiewicza do druku.

Przytaczam te szczegóły, bo rzucają one światło na warunki, w jakich wydano w Paryżu pierwsze tłumaczenie francuskie powieści autora, głośnego zresztą we wszystkich krajach Europy i Ameryki. Od wczoraj leży na mem biurku książka, której tytuł brzmi: „H. Sienkiewicz Sans dogme, traduit de polonais par le Comte A. Wodziński. Paris, Calamann Lévy, 1895“.

Pobiegłem natychmiast do oryginalnego „informatora prasy“ głośnego domu Levy — tłumaczył się, że nie wiedział, że autorem „Sans dogme“ jest Sienkiewicz, że w katalogu drukarni figuruje książka ta pod nazwiskiem p. Wodzińskiego, wyszła zaś w porze ma:twiej, bo „teraz druk jej ukończono“. Przez samą ciekawość, w jakie wiadomości uzbroidł się „informator prasy“ w chwili, gdy dom Levego obznajmia publiczność francuską po raz pierwszy z wielkim dziełem polskiego powieściopisarza, starałem się wydobyć coś z p. Weila o Sienkiewiczu, „Bez dogmatu“ i p. Wodzińskim — nic pocziwiec nie wiedział, nawet tego, co w ostatnich czasach pisały o autorze „Potopu“ pisma paryskie!

Mniejsza o literackie wiadomości, uprzejmego zresztą, „informatora prasy“ domu Levego; świadczą one jednak, że nietylko pojawieniu się „Sans dogme“ towarzyszyć nie będzie reklama, ale że wydawcy odstąpili w tym wypadku od przyjętego ogólnie w Paryżu w takich razach zwyczaju i nie zadadzą sobie trudu dostarczenia wiadomości tym nawet dziennikarzom paryskim, którzy „proprio motu“ zająć się zechcą nowością. Sienkiewicz zadowolnić się na razie musi tymi czytelnikami, których zwabi mu w pustym dziś Paryżu wystawienie nowej książki po oknach księgarskich. Jakie wrażenie sprawi „Sans dogme“ na czytelnikach, którym wpadnie przypadkowo w ręce?

Przeczytałem książkę jednym tchem i na mnie zrobiła wrażenie jak najlepsze. W pobieżnej swej reporterskiej notatce zapuszczać się nie myślę w krytykę ni dzieła, ni tłumacza. „Bez dogmatu“ jest niewątpliwie książką, którą zrozumieć może i ocenić każdy, bez względu na narodowość i język. Co najwyżej, francuscy czytelnicy, nie znający tak dobrze typu tak charakterystycznie polskiego, jak Płoszowski, nie będą mieli uczucia tego dreszczu, przejmującego nas, znajdujących w książce Sienkiewicza tyle rysów wydobytych na jaw i zanalizowanych,

silnego ciała i zdolnej do naprężeń duszy, łaknących podnieć i wybuchów silniejszych, niżli te, co przynoszą szczęście lub nieszczęście, z ową monotonią, co ciąży nad niemi, niby szare a brudne niebo.

Na stolczku balkonowym stał kociołek, a nad nim unosiła się para — dwie flaszki, jedna z rumem, druga z arakiem, i dymiąca, napełniona szklanka, do której ręka mężczyzny o długich, wązkich palcach wyciskała cytrynę.

Ręka ta poruszała się swobodnie, bez nerwowych ruchów, właściwych długim a szupłym rękom. Ręka to była młoda i młodym był mężczyzna, co wsparty na dłoni, siedział przy balkonowym stoliku. Twarz miał jeszcze młodszą niż rękę, twarz, w której wszystko tchnęło spokojem, ciche spojrzenie niebieskich oczów, co spoglądały w górę, i miękką linię silnych warg, rozchylonych, jak u śpiącego. Był to cichy, pełny spokój — wsłuchiwanie się, ale nie w głosy lub myśli — nie milczenie nadziei lub rozczarowania, lecz bezwiedne przysłuchiwanie się temu, co się dzieje po za tym światem wrażeń i zmysłów.

Cisza zalegała powietrze, nieskończona, najcichsza cisza.

Wieczór zapadał.

Mężczyzna i kobieta na balkonie nie mówili do siebie nic, ale w tem milczeniu było coś, co mówiło bez ruchu, bez spojrzeń, bez słów.

z których jawnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, nas, niepokojonych ich prawdziwością, czujących, jak każde cięcie drży. Ale bądź co bądź, typ ten, mniej innych dotykający żywo, dla wszystkich jest zrozumiałym, zajmującym, a analiza wszystkich przejać zdoła silnie, byle tłumaczenie nie uroniło tej świeżości i jedności przedstawienia przejść i uczuć, tej bystrości spostrzegawczej, konsekwencji w przeprowadzeniu i ciepła uczucia, które urok stanowią oryginału.

Pod tym względem sąd należy do Francuzów, mnie tłumaczenie wydaje się bardzo do brem. Krytyka polska osądzi zapewne wpływ, jaki na powieść Sienkiewicza wywarło zmniejszenie jej rozmiarów. Trzy tomy „Bez dogmatu“ stopniały w tłumaczeniu francuskim do jednego o 393 str. Francuscy wydawcy nie drukują wielotomowych powieści, stosując się w tem do upodobań tutejszej publiczności, która obecnie dozwala na większą ilość tomów jedynie, gdy chodzi o dzieła naukowe. Tragiczne przejścia i najgorętsze miłości zmieścić się muszą w tych ciasnych, zakreślonych zwyczajem, ramach.

Do wymagań tych stosują się francuscy pisarze. Co innego jednak napisać oryginalną powieść jednotomową, co innego zredukować trzeczotomową do jednej trzeciej. Zmniejszenia takiego osiągnąć nie można samymi wykreśleniami; dokończ tu trzeba artystycznej redakcji, jak owego medalu Chaplaina, który wykonuje mistrz w wielkich rozmiarach, zmniejszając zaś wprawni wykonawcy. Nie mam pod ręką oryginału „Bez dogmatu“, nie mogę więc zrobić porównania. Mam wrażenie, że zmniejszenie odbyło się głównie kosztem licznych uwag i spostrzeżeń, kreślonych przez Płoszowskiego w dzienniku swym, a dotyczących ludzi i rzeczy, z którymi się stykał. Uwagi te nie mają ni razu bezpośredniego związku z powieścią, dają nam jednak nutę nastroju duchowego bohatera, przygotowują przejścia, które bez nich mieć by były zrozumiałe.

Tłumaczenie swe dedykował p. Wodziński pani Maryi z Wodzińskich Orpiszewskiej, „łącząc z nazwiskiem najślawniejszego naszego powieściopisarza nazwisko tej, która ongi w wiosnie swego życia miała rzadkie szczęście, że natchnęła i największego naszego muzyka i najpotężniejszego naszego poetę“.

W krótkiej przedmowie przypomina tłumacz pojawienie się na naszym literackim widnokręgu pierwszorzędnej tej gwiazdy: zaznacza, że w wyborze powieści, której podjął się tłumaczenia, zastosował się do życzenia samego autora; oświadcza wreszcie, że wszystkie zalety „Sans Dogme“ słabem są odbiciem zalet oryginału, a wszystkie braki na własne bierze barki.

W pokoju o dębowych ścianach, z którego białe franki wyglądały jakby plamy świetliste, słuchać było tykanie zegara. W ciszy tykanie to odzywało się twardo i głośno, jakby czas biegł drogą, zwirom sypaną i krótkim, skaczącym, ptasim krokiem.

Krajobraz ginął w pomroce, a błękitnawa perlista woń rozchodziła się w krąg niby cienką mgłą.

Nagle coś przerwało ciszę — coś, co ożwało się jakby przecucie, zwiększało się i wzrastało.

W powietrzu rozległ się szelest czyichś kroków. Były to równe, ciężkie, miarowe kroki. Z daleka nadchodził człowiek, zbliżył się do domu i podał gazetę na balkon.

— Padam do nóg panu.

— Dobry wieczór Sepp! — chcecie cygaro?

— Dziękuję ślicznie.

Zapałka zabłysła, a za nią dwa świecące punkty.

— Dobrej nocy panu.

— Dobranoc Sepp!

Listonosz znikł — kroki jego ucichły, jakby wpadł w ziemię. Z świecącego punktu na balkonie wznosiła się łagodna, okrągła chmurka dymu. Mężczyzna siedzący z gazetą w ręku pochylał się tam i napowrót nad stolikiem. Chmurka unosiła się w powietrzu, a zsunęła się cicho na poręcz balkonową.

LAURA MARHOLM.

## U M A R Ł.

(tłom. Helena Erté.)

W powietrzu panowała cisza.

Słońce złote wyglądało z poza szarych chmur — świeciło i chowało się. Jezioro leżało niby falista blacha, z długą czarną smugą, co przeżyła ją przez środek. W dali słychać było wieczorne dzwony, dzwoniły chwilę, potem ucichły. Wóz towarowy skrzypiął niewidzialny za zielonym pagórkem, aż skrzypienie umilkło. Nie było nic słychać, jak tylko cichy szum niby szum pszczoł rojnych. Ale nie były to pszczoły — była to tylko krew tętniąca, co szumiała w uszach kobiety, wsłuchującej się w ciszę. Kobieta stała na balkonie, — młoda kobieta, ale nie w zwykłym znaczeniu słowa, — o szerokich biodrach i spokojnej postaci. Jej stalowo szare oczy patrzyły w dal na góry śnieżne, ale nie widziały roztaczającego się krajobrazu. Patrzyły, ale nie widziały. Tkwił w nich jakiś niepokój, co objawiał się i ruchami ust, na których leżał smutek. Smutek, który nie miał żadnej przyczyny zewnętrznej, ani nawet wewnętrznej... Był to czysto fizyczny niepokój



ze skromnością tem godniejszą uznania, że wyrażona jest przez cennego autora kilku francuskich powieści.

Starannością wydania nie olśnił mię głośny dom spadkobierców braci Levy. Staranni paryscy wydawcy oczyszczać przeciw zwykły książki swe z drukarskich błędów, nie polegając w tem na korekcie autora, który ważniejsze rzeczy ma na swej głowie, niż śledzenie za przestawionemi literami lub przekreśnionemi nazwiskami, gdy zastanawia się, czy dać swe imprimatur. Gdy się jest wielkoświatową firmą, nic przypominać nie powinno tandety.

## HENRYK SYBEL.

(Wspomnienie pozgonne).

Szczęścia nie miał. Umarł nieco za wczesnie. Tak kochał Prusy, tak walczył o ich „ideę“ słowem i piórem poprzez długie lata z różnym powodzeniem, towarzyszył w r. 1870 wcieleniu się tej idei w życie doczesne, a gdy obecnie w radosnem upojeniu obchodzą Niemcy „całe i zjednoczone“ rocznicę jubileuszową, los niedobry historykowi zamknął oczy na zawsze. „Kochał“, „walczył“: jest w tych wyrazach zawarta cała charakterystyka zgasłego. Jego miłością były Prusy od czasu, jak pisać zaczął. Był wprawdzie uczniem Rankego, tego, który uosabiał przedmiotowość jakoby historyka, który dyplomatyczny, bezkwestyjność biurokraty pruskiego. Temperament „nadreński“ prędko kazał Syblowi zerwać z metodą publicystyczną, z kanonem historyzoficznym mistrza tego obrazu konserwatyzmu pruskiego. Jego pierwsze prace były już pod tym względem ostatnimi: znudził go szybko świat średniowiecza: zbadał z całym aparatem laboratorium Rankego „Dzieje pierwszej wojny krzyżowej“ i podał druzgocącej krytyce wszystkie legendy, stwierdził fałszerstwa historyczne, zebrał wszystkie akta i dyplomy. Na tem poprzestał atoli. Półcił się w wir życia politycznego, któremu, jako deputowany, poświęcił całe 33 lata. To życie właśnie nadawało ton podstawowy jego działalności naukowej. W Marburgu i Bonn wykładał z katedry konieczność dziejową zbudowania państwa niemieckiego z Prusami na czele i z wyłączeniem Austrii z tej nowej korony niemieckiej. W tym sensie był następcą poglądów Gerwinusa i Dahlmanna: tego ostatniego zastąpił w Bonn. Pierwszem jego słownem, wypowiedzianem w obronie tych przekonań, była książka: „Powstanie cesarstwa niemieckiego“, którego ostatnie dwa tomy wydano dopiero przed kilku miesiącami. Można po-

wiedzieć, że rzadko kto tak wiernie i wytrwale jak Sybel, przez lat pięćdziesiąt z górą, służył jednej „idei“ (postulatowi cesarstwa niemieckiego): służył wszędzie, w parlamentach, na katedrze, w życiu prywatnem, jako naczelnik archiwów państwowych,

Była to natura nawskroś polemiczna. Czy to pisząc o czasach najnowszych, czy błąkając się (wszakże możliwe pewnym krokiem) po krętych i zawrotnych krążgankach średniowiecza — zawsze występował w pełnym rynsztunku bojowym i zawsze miał przeciwnika, przytem żywego: dla niego nawet abstrakcje przyoblekały się w żywe kształty, a gdy walczył o „prawdę“, to i ta kochanka była dla niego „życiem pełnem powabu i rozczarowań. Warto przejrzeć kilkanaście tomów jego kwartalnika „Historische Zeitschrift“, szczególnie z lat poprzedzających kampanię francusko-pruska, aby zobaczyć, co to za mistrz fechtunku — i to nie tylko na własną rękę: cały sztab uczonych z pod jego sztandaru umiał, jak nikt lepiej, bronić swego, niszczyć, wysmiewać, błotem obrzucać wszystko, co tchnęło przeciwnymi teoryjami politycznymi.

Najważniejszą pracą Sybla są zapewne „Dzieje epoki rewolucyjnej“ — i historycy niemieccy byli tegoż zdania, aż przed kilku laty ogłosił 5 tomów „Cesarstwa niemieckiego“. Już przed Tainem umiał on wykazać po mistrzowsku, jak w granicach Wielkiej Rewolucji należy polemizować, ile czarnych barw trzeba zbierać na palecie dziejopisarskiej, jak czernie wielkich działaczy i wielkich mężenników. Miała ta praca i zasług trochę: zwróciła bowiem w sposób bardzo charakterystyczny uwagę historyków na kwestję podziału Polski w stosunku do W. Rewolucji — rzecz, która od tego czasu niejednokrotnie była powtarzana. Przynosiła świeży materiał z historyi Austrii, Niemiec i Prus. Względem Austrii pisarz ten zajmuje atoli stanowisko wrogie aż do zchydzenia pobratymców osiadłych nad Dunajem. Powstała też cała literatura polemiczna (Vivnot, Herrmann, Küffer).

W r. 1875 Sybel został dyrektorem pruskich archiwów i niewolnikiem Bismarcka. Od tej chwili datuje się pewna chęć i myśl opisanie dziejów powstania państwa niemieckiego. Praca prawdopodobnie w dużej części jest dziełem Bismarcka. Dziś, kiedy już całość siedmiu tomów ogarnąć możemy, czyni ona wrażenie starej epopei, w której sam działacz dyktuje swe dzieje posłusznemu skrybie. Książę żelazny ukazuje się wszędzie genialny, oddany prawdzie, sprawiedliwości, uprzejmy nawet i dystyngowany, jak przystało na wielkiego bohatera epopei. Cesarza Wilhelma II nie zadowoliło takie przedstawienie rzeczy i nie podołała mu

się cieniowa rola, jaką autor wyznaczył jego dziadkowi, Wilhelmowi I, a już był urażony stronnicami, poświęconemi teściowi, ks. Augustenburskiemu. Dość, że dyrektorowi archiwów wzbroniono korzystania z aktów zbioru państwowego — a przed rokiem pozbawiono go wysokiej nagrody, wyznaczonej mu przez sędziów konkursowych. Mimo to, pewnie dzięki poparciu ks. Bismarcka i jego partyzantów, a przy pomocy rękopiśmiennych pamiętników powstały dwa tomy, wykończone ubiegłej zimy. Historyk przerywa owe opowiadanie na roku 1869.

Po śmierci Rankego uważano go za największego historyka Niemiec współczesnych. Pochowano z największemi honorami, na jakie zdobyć się może biurokracyzm pruski. I cesarz Wilhelm darował mu winy: wszak popełnił je w dobrej, ultra-pruskiej wierze i w polemicznym zapale.

P. O. R.

## Jerzy Gordon Noel Byron.

Irlandzki Avatar.<sup>1)</sup>

Wprzód nim córka Brunświku w swej ostygła trumnie, Gdy jej proch płynie jeszcze w swej ojczyzny stronie, Oto już tryumfując Jerzy spieszy dumnie Do wyspy, którą kochał tak jak swoją — żonę.

Wprawdzie świetna jej era teraz już nie świeci... Czas wolności do tęczy tak podobny błysku Trwał lat kilka, po długim szeregu stuleci... Czas, co nie znał ni zdrady, ni łez, ni ucisku.<sup>2)</sup>

Wprawdzie na katolika szmatach łańcuch dzwoni, Zamek stoi, lecz senat już w nim nie zasiada; A głód, co dotąd mieszkał w stromych skałach ustroni, Teraz już spustoszoną brzegiem morza włada.

<sup>1)</sup> Avatar — jest to wcielenie bóstwa. Takim wcieleniem bóstwa, schodzącem do Irlandyi (inaczej Erynu) nazywa Byron ironicznie Jerzego IV, króla Anglii, który natychmiast po śmierci żony swej Karoliny Brunświckiej odwiedził ową zgnaną i spustoszoną wyspę. Świetne przyjęcie, jakie mu tam zgotowano, nie liczące bynajmniej z ogólnem przygnębieniem mieszkańców, stało się powodem tego wiersza, w którym poeta wypowiada uczucia swe względem narodu tak przez jego ziomków ciemniejszego. Kwestya irlandzka, do dzisiejszego dnia nie rozwiązana jeszcze, mówi sama za siebie. Pragnącym dzieje jej poznać bliżej, przynajmniej w ogólnych zarysach, odsyłam do IV tomu „Głównych prądów literatury XIX stulecia“, gdzie na str. 176—215 Brandes kreśli porywający obraz stosunków irlandzkich na schyłku XVIII stulecia. Czytelnicy znajdując tam najlepszy komentarz do wiersza, którego przekład podaje.

<sup>2)</sup> Byron ma tu na myśli zwrot, jaki nastąpił od chwili zamianowania (1795) przez rząd angielski wiekrolem Irlandyi lorda Camdena, który na wstępie zapowiedział, iż odstępuje od humanitarnej polityki roku 1782.

Dwie duże chmury dymu uniosły się z palącego punktu, co błyszczał jasno.

— Haynasch umarł — odezwał się w ciszy spokojny, ale nie całkiem czysty głos mężki.

Kobieta drgnęła i zwróciła się do stolika.

— Haynasch? — a po chwili: — Mielśmy się jeszcze jutro z nim spotkać.

— Tak, teraz się już z nim nie spotkamy.

— Jakżeż się to stało? — pytał głos bojaźliwy a drżący.

— Zdaje się, że utonął w jeziorze podczas kąpieli. Z zamiarem albo może i bez zamiaru.

Więcej w gazecie nie ma nic.

Cygaro zatliło się i znowu kręgi dymu zawisły cicho w powietrzu.

— Dr. Alfred Haynasch — przecie tak się nazywał?

— Tak.

— W takim razie to on.

— Pozwól gazetę, muszę przeczytać sama.

Kobieta wzięła dziennik do ręki, znalazła ową wzmiankę, wsparła oba łokcie na poręcz balkoniu, głowę skryła w dłonie, że twarzy nie było widać, i czytała — długo.

Potem wyprostowała się.

— I prawie został mianowany profesorem zwyczajnym... nie wiem tylko gdzie... czuć było w głosie, że myśli jej były daleko.

Mężczyzna siedział cicho i nie odpowiadał nic.

— Ze tu nie mógł wytrzymać, to powtarzał często — opowiadała kobieta — ale i tam, gdzie miał jechać, nie nęciło go nic... a teraz ten nagły koniec.

Mężczyzna palił cygaro i milczał.

Nastąpiła długa cisza.

Kobieta stała niby czarny cień zwrócony ku niebu. Odblask zorzy wieczornej spływał z północy w szeroką dolinę, żółtawo-czerwoną łuną, z pod której gęste szare obłoki wznosiły się do góry.

Wiatr wieczorny zaświszczał nad balkonem.

Kobietę przeszło drżenie od stóp do głowy.

— Właściwie jest mi to nawet przyjemnem — szepnęła.

Zadumane oczy mężczyzny spojrzały na nią duże — otwarte.

— Tobie? — strzepnął popiół z cygara. — Cóż ciebie to dotyczyć może, czy on żyje, czy umarł?!

— Nie potrzebuję go więcej wiedzieć.

— Jest w tem coś uderzającego — rzekł mężczyzna — ja mam to samo uczucie.

Kobieta spojrzała na niego z dziwnym wyrazem w oczach.

— Właściwie... ty i on — nie byliście nigdy przyjaciółmi.

— Tak. Ale ty i on... on w gruncie rzeczy kręcił się koło ciebie.

Kobieta uchwyciła gałązkę dzikiego wina,

które zwieszało się z balkoniu — i bawiła się nią nerwowo.

— On też zawsze czegoś chciał odemnie — szepnęła.

— Chciał czegoś od ciebie?

— Tak.

— Czegoż takiego?

Głos mężczyzny nie był zmieniony, ale oczy jego rozszerzyły się i patrzyły na nią spojrzeniem, jakby ją ująć chciały w żelazne kleszcze.

— Sama nie wiem, czego on mógł chcieć odemnie.

Bawiła się dalej gałązką wina — nagle zerwała ją, że cała zielen balkonowa zdrząła, — rzuciła zerwane liście i weszła do pokoju, gdzie chodziła tam i napowrót szybkim, niespokojnym krokiem.

— Gdybym chociaż wiedziała!... — stanęła w drzwiach i mówiła jakby do siebie. — Wiem dobrze, że chciał czegoś odemnie... zawsze kiedyśmy byli sami. Czytałam to w jego oczach... czułam to, gdy siedział przy mnie, albo szedł za mną. Było w nim coś, co zbliżało się do mnie i pukać chciało jak do zamkniętej bramy... Ale przedewszystkiem tkwiło to w jego oczach...

— Tak; miał zawsze dziwne oczy, takie okrągłe, badające, niby oczy ptaka.

— Jakby kosa — mówiła kobieta. — Ale nie było to samo spojrzenie. Było w nim



Tym brzegiem spustoszoną — z kądem wychodźca oczy  
Obraca ku swej ziemi, zanim w dal odpłynie...  
Na łańcuch, co mu z ręki opadł, iza się toczy,  
Był więźniem — lecz przynajmniej w ojczystej krainie.

Lecz oto On przybywa! Mesjasz władzy swojej!  
Jak ów piękny Lewiatan! przeto niech go darzy  
Lud Twój takim przyjęciem, jakie mu przystoi...  
Więc armią niewolników i legią kucharzy.

Wioząc kopą tak kwiecie jak i przyrzeczenia,  
Przybywa w widowisku zagrać władcy rolę...  
Niech żyje koniczyna,<sup>3)</sup> która go ocenia!  
Obyż w sercu miał zielen, jak ją ma — na czole!

Gdyby odżyła jednak ta zielen zwiędnięta,  
Gdyby trysły szlachetnych pragnień nowe zdroje,  
Wybaczyłaby wolność — gdy cię łańcuch pęta —  
Taniec i niewolnicze te okrzyki twoje.

Szał-li to, czy nikczemność hańbi twoją dolę?  
Jak gdyby Bogiem było nędzne to stworzenie  
Tyle grzechów mające, co zmarszczek na czole...  
Wszak go mogło zawstydzić takie ubóstwienie.

Drzyj więc gardło w orszaku władcy — niech się puszą  
Mówcy twoi, by jego pychę paść nikczemnie,  
Grattan<sup>4)</sup> nie tak wolność bronił całą duszą...  
Błagał i protestował — wszystko nadaremnie.

Zawsze sławny Gratanie! Tak wzniosły, gdyś z chwałą  
Spoczął! Szcery, z szlachetnych najbardziej szlachetny,  
Obdarzony wszystkim, czego nie stawalo  
Demostenowi, jego zapaśniku świetny!

Zanim Tulliusz zabłysnął na Rzymu zenicie,  
Lubo sam niezrównany, zastał podwaliny —  
Ale Grattan z mógłby wieków wywiódł życie,  
Jak Bóg — pierwszy, ostatni, zbawiciel, jedyny...

By władzą Orfeusza poskromić zwierzęta,  
Prometeja skra ludzkość rozplomić całą...  
Tyrania go słuchała niema i wstrząśnięta,  
A przedajność pod myśli jego bladła strzała.

Lecz powróćmy do rzeczy, a więc do despotów,  
Niewolników, uczt, zabaw wśród pory głodowej...  
Wolność wita — niewolnik zaś oszaleć gotów,  
Gdy na czas saturnalii zwolnią mu okowy.

Czyż przepych da świetności pozór twej ruinie...  
Tak bankrut, chcąc nędzę ukryć, się panoszą!  
Wyzłóć pałac! Patrz, oto władca twój Erynie...  
Ucałuj nogę ze cześcią i rozkoszą.

A jeżeli wydartą wolność wreszcie błysnie,  
A bałwan z brązu ujrzy nogi swe gliniane —  
Oddziel, co polityka lub przestrach wycisnie,  
Od tego, co jak władcy wilczy łup jest brane.

<sup>3)</sup> Koniczyna jest symbolem Irlandyi.

<sup>4)</sup> Grattan jest jednym z bohaterów Irlandyi. Był to mąż z r. 1782, który, jak powiada Brandes, „uczynił Irlandczyków narodem“. Kiedy Anglia postanowiła znieść parlament Dubliński, pomimo to, iż Grattan był już złamanym i niebezpiecznie chorym starcem, postanowiono wybrać go znowu, w przeświadczeniu, iż piorunująca wymowa jego zwycięży. Stało się jednak inaczej, rząd bowiem przekupił potrzebną liczbę członków opozycji.

jeszcze coś, co tkwiło po za spojzeniem i wy-  
dostać się chciało na zewnątrz.

— To też w jego towarzystwie byłaś  
zawsze nieswoja... zauważyłem to.

— Być może. Nie jestem z drewna. Ale  
właściwej przyczyny tego zgadnąć nie możesz.  
Było to coś... coś prócz spojzenia. A takie  
oczy widywałam już nietylko u niego.

Znowu przeszedł ją dreszcz i wzdrgnęła  
się. On pociągnął ją ku sobie, objął ramieniem  
i przytulił do siebie.

— Jesteś rozdrażniona — mówił uspaka-  
jąco głaszcząc ją delikatną dłonią... Ta  
śmierć wstrząsnęła cię. Znało się człowieka...  
brało się udział w jego życiu i czuło się, że  
i on żył z nami. Przyzwyczailiśmy się spotykać  
go na tem samym miejscu, o tej samej go-  
dzinie, a teraz nagle niema go — miejsce,  
które zajmował jest puste, nie przyjdzie nigdy  
więcej, tylko gnije gdzieś pod ziemią.

Zresztą — tu głos jego zmienił się —  
Haynasha właściwie mi nie żal. Był mi zawsze  
raczej niesympatyczny. Było w nim coś nie-  
przezroczyściego... coś — jakże to powiedzieć?  
jakby miał nieczyste sumienie...

Kobieta pozwałała się pieścić i patrzyła  
martwym wzrokiem w dal.

— Mnie się też tak zdawało. Zawsze  
miał coś, co ukryć pragnął, albo walczył z ja-  
kiemiś myślami, których pozbyć się nie mógł.

Każdy zwier ma przywilej, rząd — to przywilej  
Króla! W tem jednym słowie oto się zawarła  
Przyczyna przekleństw świata, stanowiących dzieje  
Od Cezara Ołbrzyma do Jerzego Karła.

Noś Fingalu galowy strój! Czar twej wymowy  
Niech działa O'Connellu — aż wszyscy poczują,  
Że jest błędnym ten wyrok hańby półwiekowej  
I wyrazi: „Hał młody księciem jest i szują“<sup>5)</sup>

Fingalu! Czy ci modra szarfa twa przypomni  
Miliony katolików skutych w lochu zimnym...  
Czy cię ona nie zwiąże z wszystkich najniezłomniej  
Niewolników, co zdrając dziś witają hymnem.

Tak! postawcie mu pałac! Sypcie mu halerze,  
Póki, jak Babel, pałac królewski nie stanie...  
Niech żebrak i niewolnik grosze swoje zbierze!  
Z więzienia niechaj pałac wzniosą ci tyranie!

Stawcie dla Witelliusza stół z królewską strawą,  
Aż despotą żarłoczny i jego kumpany  
Po gardziel się napchają i ogłaszają z wrzawą:  
Niech żyje kiej i tyran czwarty, Jerzym zwany.

Stawcie stoły biesiadne, dopóki w przesycie  
Nie zajęcą, jak lud twój, co z nędzy szaleje...  
Wino niech bachanalii tron zlewa obficie,  
Jak twa krew, co się łała i jeszcze się leje.

Lecz niech nie jego tylko imię bywa wszędzie  
Twym bożkiem; po prawicy oto masz Sejana,  
To Castlereagh<sup>6)</sup> Twój własny! Niechże twoją będzie  
Zawsze ta szuja, z przekleństw i drwin tylko znana.

Ojczysta wyspa jego winna być czerwona  
Ze wstydu, jak posoka, którą łał z jej wnętrzy...  
Eryn pysznić się zdaje płodem swego łona  
I za morderstwa okrzyk śle mu najgorętszy.

Bez znamion, z których każdy syn Irlandyi słynie...  
Bez fantazyi, odwagi, ognia! Niedaremna  
Jest wątpliwość, co ciebie ogarnia Erynie,  
Czyś mógł wydać istotę podobnie nikczemną?!

Gdyś wydał, niech przypadnie przysławie przechwalce,  
Ze gad nigdy w Erynie legnąć się nie może...  
Patrz na to zinnokrwiste stworzenie padalce,  
Co wciąż jeszcze na piersi królewskiej ma łoże.

Krzyczcie, pijcie, uczujcie! Erynie! jeżeli  
Wrogi los w toń cię zepchnął — to to przywołanie  
Tyrana w stokroć gorzej nurza cię topieli,  
Co raz głębiej w przepastne strącając otchłanie.

Mój głos, choć nikły, zawsze twe podnosił prawo,  
Człowiek wolny, jam głosił twą wolność w potrzebie...  
Dłoń, choć słaba, miecz chciała wziąć na walkę krawawą,  
A serce, choć zgnębane, wciąż biło dla ciebie

Tak! Jam kochał Cię, luboś ty nie moją ziemią,  
I twych synów, co byli z serc i ducha sławni  
I płakałem ze światem nad tymi, co drzemią  
Pod mogiłą — lecz teraz nie płaczę jak dawniej.

<sup>5)</sup> Temi słowy poczyniała się piosenka, wyszydza-  
jąca Jerzego IV, a pochodząca z czasów, gdy monarcha  
ten był jeszcze księciem regentem.

<sup>6)</sup> Castlereagh, wyrodny Irlandczyk, był sekre-  
tarem do spraw irlandzkich; do końca życia swego, a  
nawet i po samobójczej śmierci, był on celem zgryźli-  
wych epigramatów Byrona i Moore'a.

Nie wiem, czy to było coś rzeczywistego, czy  
coś wmówionego, plama na jego duszy, czy  
jakiś stósunek życiowy, z którym nie chciał się  
wydać, czy może coś obcego, wyczytanego, co  
osiadło niby proch na jego życiu wewnętrznym.  
Ale było to coś, co napełniało go strachem —  
a strach ten przebił mimo jego rutynowanych  
form towarzyskich

— Tak, ja go nie znośiłem.

— On to czuł. Ale też nie szukał ciebie.

On szukał mnie.

— Nie mówże głupstw Jenny.

— Dobrze. Nie mówy o tem. Ale coś  
w tem było. On chciał sobie jakoś ulżyć.  
Chciał wyrzucić z siebie to, co dręczyło go,  
albo miał pod tem zginąć. Chciał wypowie-  
dzieć to wszystko przedemną... a przecież zo-  
stawało niewypowiedzianem, na dnie jego duszy...  
na mówienie nie mógł się zdobyć.

— Czemuż nie pomogłaś?

— Ja? silnym ruchem wysunęła się z jego  
ramion i spojrzała mu prosto w oczy. Jakżeż  
mogłabym to uczynić, jako twoja żona?

— Znowu bałamucisz rzeczy nie należące  
do siebie...

— Przepraszam. (gwałtownie) Ja nic nie  
bałamucę. Cóż ty właściwie sobie myślisz?  
Czy ty myślisz, że mężczyzna może kobiecie  
albo chce kobiecie oddać duszę swoją z całą,  
pełną, głęboką, nieskończoną ufnością, jeżeli

Gdyż szczęści ci, co w głąszy spoczęli grobowej,  
Zdaleka — Grattan, Curran,<sup>7)</sup> Sheridan — ci, którzy  
Niegdyś byli wodzami w tej walce wymowy,  
Co srom twój odkupili, lecz nie zwlekli dłużej.

Tak! szczęśliwi są oni w Anglii grobach chłodnych...  
Twe okrzyki ich cienia zdumieć nie są zdolne...  
Ni też deptać nie będą ich prochów swobodnych  
Gnębiciele Erynu, ni sługi powolne.

Dotychczas synom Twoim zawsze zazdrościłem,  
Choć twa wolność zginęła, a kat cnoty chłoszcze,  
Gdyż takim tchnęło ciepłem podniosłem i miłem  
Z serc irlandzkich... Dziś twoim umarłym zazdrozczę...

I tylko we mnie wzgardę przytłumia na chwilę  
Dla ludu, co służalność w chwiejnej ma naturze,  
Co deptany jak robak, nie urąga sile, —  
Twoja sława Grattanie i twój geniusz Moorze.<sup>8)</sup>

*Tłm. Władysław Nawrocki*

<sup>7)</sup> Curran, sławny adwokat, niezmordowany i wy-  
mowny obrońca irlandzkich poddańców z r. 1798, jeden  
z najznakomitszych i najbardziej poważanych mężów  
w kraju. Jego to córka, miss Sare, ukochoł narodowy  
bohater Irlandyi, Robert Emmet, stracony w 23 roku  
życia (1803 r.), jako stojący na czele spisku dążącego  
do utworzenia niezależnej Rzeczypospolitej irlandzkiej,  
opartej na przymierzu z francuską.

<sup>8)</sup> Czytać należy Murze. Tomasz Moore  
(1780—1852), Irlandczyk z urodzenia, współczesny By-  
ronowi poeta angielski, przyjaciel i biograf jego.  
W swych nieśmtertelnych „Melodyach Irlandzkich“ wy-  
powiada on bóle narodu swojego. Pisał je, jak sam  
przynajmniej, pod natchnieniem wspomnień o Emmecie,  
którego był druhem serdecznym.

## Dla korony.

(Franciszek Coppée: Pour la couronne. Paryż, 1895.)

Prawdziwy syn Paryża, w utworach po-  
wieściowych nie wychodzący z jego przedmieści  
i okolic, miłośnik wzorów miejskich i zaciszy  
przyrógatkowych, w poezyi i niemniej często  
w dramacie, Franciszek Coppée ulatuje nad  
przestwór stolicy francuskiej i oba brzegi Se-  
kwany. Myśl jego przenosi się wówczas w  
urocze krainy wschodu, szybuje pod błękitem  
Włoch, osiada na rozkwitłych drzewach poma-  
rańczowych Andaluzyi. Cofa się w przeszłość,  
pod jej sklepieniami szukając piękna duszy  
i podniosłości. „Lutnista z Kremony“, „Severo  
Torelli“, „Jakobici“, „Błogosławieństwo“, wy-  
starczą za przykład.

Obecnie w poszukiwaniu widoków i no-  
wych wrażeń myśl ta pobiegła na szczyty Bał-  
kanu, kryte śniegiem i wieńczone jodłą. Tu  
w pobliżu wąwozów, ciasnych drożyn górskich  
i przejść, które gład duży zawala, strzelił  
w niebo basztami i wieżycami zamek Michała  
Brankomira. Gdy słońce mgłę rozpędzi, oko  
widzi z niego wierzchy okoliczne, przestrzelił

nie wie, że może mówić do niej, jako męż-  
czyzna do kobiety, a że ona jako kobieta mu  
odpowie. Jeżeli mężczyzna to potrafi, to nie  
jest mężczyzną, albo ona nie jest kobietą, albo  
wszystko razem jest tylko wielkiem estetyczno-  
etycznym zboczeniem. Słuchaj, a opowiem ci  
coś. Było to ostatnim razem, kiedy go spot-  
kałam. Byłam w mieście, żeby z biblioteki  
przynieść książki. Jedliśmy obiad w zwykłym  
towarzystwie, z którym mało mówił, byliśmy  
razem w kawiarni — a potem pożegnałam się  
z nim, by się nie spóźnić do pociągu. Chciałam,  
ponieważ droga do pociągu daleka, wsiąść do  
dorózki. Ale on stał z paką książek w ręce  
i patrzył na mnie bojaźliwym, trwożnym spoj-  
rzeniem i nie poszedł za mną w miejsce, gdzie  
dorózki stały. Postanowiłam więc iść pieszo  
i szliśmy razem. On mówił po drodze swoim  
zwyczajem o niedoskonałości w zapytrywaniach  
i w moralności, w utworach artystycznych i w  
indywidualnościach naszych czasów. Czulałam  
jednak, że o to nie chodziło mu wcale, że  
zmierzał gdzieindziej — do czegoś, co stanowiło  
istotę jego własnej duszy, co było ową osi-  
ką koło której skupiało się wszystko.

— I dowiedziałaś się, o co mu szło?

— Czulałam, że zbliżał się do tego, im  
szliśmy dalej. Właściwie nie powinien był iść  
ze mną. Była to godzina jego pracy w biblio-  
tece. Ale uśmiechnął się tylko w swój dziwny



zieleni, a w dole u stóp obrzymów złociste morze zbóż. Równinę bułgarską, „złotą od kłosów pszenicy, jakby skóra lwia, na niej jak miecz stalowy rzucony Dunaj szeroki“.

Te wierzchy, duch wolności spowija, to zakątek równin jedyny w pęta nie zakuty. Turka powódź tylko o te granity jeszcze rozbrzyguje się. Tu tylko, gdzie jak wilk u wnijścia do swej pieczary, broni się Brankomir, nie powiewa buńczuk i nie błyszczy półksiężyc. Reszta ziem bałkańskich uległa przemocy i zdradzie. A i w owe strony Mahomet II wciąż wysłał wojska i wciąż bezskutecznie straty ponosi.

Dramat „Dla korony“ osnuty na tle walk Słowian z Turkami.

Na wałach zamku Albańczyk Benko z gęsłą na ramieniu ogląda okolicę. Urosz, weteran Brankomira siadł na ławie, młody żołnierz, Łazarz, objaśnia gęsłarzowi widok.

„Skanderbeg umarł, Huniady umarł, od Warny aż po Budę zgłiszczą i ruiny. W Polsce przy drogach boże męki krwią spłynęły, każda sama z siebie, z bóleści wielkiej, iż ćwierć świata chrześcijańskiego Mahomet zdobył. W Pradze obraz Bogarodzicy poblądł. Cała Europa zachwiał się pod ciosem osmańskim zakłamała.“

I jeden tylko biorąc dziesięciu wrogów na każdą palec, jedyny chrześcijanin, Michał Brankomir, podjął walkę przeciw obroży i jarzmu, meczetowi i baszy. Na białym proporcu wyszył Chrystusa ze złotą, a władca Widynu za radą jego odesłał sułtanowi tytuł emira i dani odwołował. Uderzył dzwon ratunkowy, zardzewiałe szable wyblęsnęły z pochew, armaty z gór lunęły deszczem śmierci ku dołom, gdzie obóz Turków rozłożył się. Wąwozy obsadzone, potoki zarumieniły się krwią wrogów i obrońców. Od dwunastu lat walczyli i śnać tygrys stepił już sobie pazury, w łapy ciernia nawbijał. Zapewne, leży tam na równinach, ale zmalała jego zawziętość, kły o skałę się starły.

My tu zawsze czuwamy. A jeśli dziś dojrzyś pewne napięcie na twarzach, zajęcie jedną myślą, to nie obawiaj wroga. Król stał umarł, nowego obieramy. Nami, narodem wolnym, tylko przez nas wybrani rządzą. Wszyscy prawie wiemy, kto nim będzie: biskup Stefan, który modlitwą i słowem do boju zagrzewał. Lecz i Brankomir z namowy drugiej swej żony, księżniczki bizantyjskiej, Bazylidy, o tron się ubiega. Tam w gmachu czeka niecierpliwie na posłańca ze stolicy“.

Bazylida jest głównią, z której rozpali się pożar.

Wszedł. Nie posłaniec, lecz nowy król. Jest nim biskup Stefan. On wie, że wybór winien był paść na Michała, nie położył prze-

sposób, gdy mu to przypomniałam. Książki były ciężkie i chciałam zawołać ekspres. Uśmiechnął się znowu i dźwigał je dalej. Wreszcie przysłisł na dworzec. Wszłam do poczekalni. Nie odchodził. Powtarzał tylko ciągle podczas rozmowy: „Pani by to zrozumiała z pewnością“.

I jego jasne, okrągłe, niespokojne ptasie oczy, patrzyły na mnie spojrzeniem, które mówiło o wszystkim, co niewypowiedziane na dnie jego duszy leżało... tej duszy, co oddać się chciała i prosiła jeno, aby jej nie odpychał. Tylko słowa, które wypowiedzieć to miały, były jakby gdzieś w oddali, jakby uchwycić je było niepodobieństwem. Portyer otworzył drzwi i recytował całą litanią stacyi. Pożegnałam się i wyszłam na peron. On pożegnał się i poszedł za mną na peron. Wszłam do coupé, on stanął, oparłszy nogi o schodki wagonu. I oczy jego mówiły dalej, i cała istota jego była jakby spowiadaniem się z czegoś ukrytego, jakby więzy jakieś spadały nagle. Przy końcu pociągu z szelestem zamykano drzwi, on nie słyszał tego. Konduktor przechodził i powtarzał swoje: „Siadać proszę“. A ja wyciągnęłam rękę i mówiłam: „Siadaj pan i jedźmy razem, będzie panu dobrze na wsi“ i co się jeszcze mówi, jeżeli się chce przekonać kogoś, o kim się czuje, że pragnie być przekonany. On uczynił nagły ruch, jakby coś ciężkiego rzucił

ciężki zasług godnych stanąć na równi z czynami wodza. Ale będzie mu szczerym doradcą, a kiedy wnet powieki zamknie, Turczyn pewnie daleko będzie odparty od gór, może z Carogrodu wygnany i Michał nad większym jeszcze królestwem siądzie do rządów.

Lecz ani słowa Stefana, ani wrodzona Michałowi obojętność dla blasku zewnętrznego nie mogły oprzeć się wpływowi Bazylidy. Jak wąż okręciła się około duszy bohatera, coraz ścieśniając sploty. We wnętrzu jego rzuciła ziarno cykuty i uprawiała pod nie grunt, polewała je namowami i nakłanianiem. Puściło nareszcie robaczkowy korzeń, wychyliły się z łodygi listki strzępione jadowej rośliny.

Pobudzany i kaleczony w dotkniętej dumie, Michał uległ żonnie. Sułtan przez swego szpiega Benkę przesłał ferman, który zdrajcy, przeprowadzającemu armię przez wąwozy, nadawał władzę królewską. Dziś w nocy Michał tego dokonał...

Marznie oddech w powietrzu, prosto w górę ciągnie dym z łuczywa, które trzyma w dłoni góral, stojący na czatach. Zimno, a świetlnie. Smolny stos sygnałowy, który ma być zapalonym w razie zbliżenia się wroga, cały opromieniony księżycem, starodawna droga rzymska jasno bieleje na grzbiecie góry, opodal na pół zwałony łuk tryumfalny widny jak na dłoni.

Wykrzyły się gwiazdy, wypatrzyły się oczy widnokrepu, a to zły znak. Powiadała matka — mówi do siebie góral — że kiedy gwiazdy tak patrzą, jakaś zbrodnia wisi w powietrzu. Jakaż zbrodnia?

Minęła północ, ręce kostnieją z chłodu; czy nikt nie przyjdzie odmienić warty?

Przybywa sam Michał. Wódz, którego skronie oplótły wawrzyny, zdepcę je dziś i shańbi. Starzec o włosach siwych rzuci garść błota na swą głowę. Wkrótce płyty drogi zadźwięczą od kopyt generała Otorgula, a on nie wyda sygnału. Lecz będzie miał koronę.

Wtem z drugiej strony wąwozu wynurza się cień. Ze skał wychodzi syn Michała, z pierwszego małżeństwa, Konstantyn. Dzielnym młodzian. Od dziecka ścinał się z Turkiem, nie zna trwogi. Nie drżał nigdy i nigdy nie splamił się okrucieństwem.

Podczas jednej utarczki wziął do niewoli dziewczynę Milicę, cygankę, błakającą się przy obozie tureckim, biedne upadłe stworzenie, rozrywkę żołnierstwa. Nie traktował jej ze wzdrganiem, darował wolność, i deptane, hańbione dziecko przywiązało się do młodego rycerza, jak pies uratowany z rynsztoku. Ona to poznawszy w Benku jednego z wojowników osmańskich, zaczęła go śledzić, a dopatrzwszy częste schadzki z Bazylidą, wpadła na domysł zdrady.

za siebie, twarz jego rozjaśniła się, nabrała wyrazu stanowczości i już stawał w drzwiach coupé. Usunęłam się, żeby go przepuścić i przytem, z przyzwyczajenia mieszania twojej osoby do wszystkiego co mówię, wyrwały mi się słowa: „A gdy tak razem z panem przyjadę, jakżeż się też mój mąż ucieszy“. On wzdrgnął się, czułam to najwyraźniej, choć nie uczynił żadnego ruchu. Konduktor już miał drzwi zatrzasnąć.

— Nie mogę — rzekł z prędkim oddechem — zapomniałem... muszę jeszcze... Instynktownie spojrzęłam mu prosto w oczy. Ale oczy te miały jakiś wyraz wespół nieprzytomny. I zanim byłam w stanie słowo powiedzieć, już go nie było. a drzwi zamknęły się z trzaskiem. W tej sekundzie pociąg ruszył.

— Nie mówiłaś mi o tem nigdy — rzekł mąż.

— Nie mogłam. Nie było to moją własnością. Był to kawał jego istoty, do której nie miałam prawa.

Mężczyzna odrzucił wypalone cygaro i milczał.

— Moim zdaniem w tem wszystkim jest coś nienormalnego — powiedział po chwili. — Jeżeli myślisz, że miał coś na sercu, a tem czemś nie była zazdrość, że ja jestem tym szczęśliwym, co posiada ciebie...

— Nie inaczej rzecz się miała.

Za jej podniętą Konstantyn ukrył się w izbie ojca i podsłuchiwał rozmowy małżonków.

Nie wierzył jednak, aby ojciec mógł dotrzymać przyrzeczenia, danego żonnie w chwili zapomnienia. Na pytanie Michała, po co przyszedł, odkrył, że wie wszystko, lecz zarazem, że czci w nim twórcę wielkiego pomysłu. Tak, niech Otorgul z armią wkroczy w pół wąwozu, niech się ma za bezpiecznego, wtedy obaj zapalą stos i Turcy do nogi wyginą.

Plan powzięty wkorzenił się zbyt mocno w duszę wodza. Nigdy tego nie będzie — odpowiada.

— Opuścisz naszą granicę, Turcy spustoszą cały świat chrześcijański?!

— On był mi niewierny.

— I wiarę?

— A czy dała mi koronę?

Spór rozpala się coraz zacieklej. Syn wpada w rozpacz. Ojciec zdrajcą... Wojownicy zabici będą w grobach swych jęczeć za jego zbrodnię, zdobyte na baszach chorągwie spoliczkują go, gdy wejdzie do świątyni, gdzie wiszą. Korona czoło mu spali.

— Ustąp! — woła ojciec. — Pókim żyw, nikt stosu nie zapali.

Szczeknęła w dali broń Turków, Konstantyn zbliża się do stosu. „Gdybym miał nawet ojcobójcą zostać, nie ulegnę hańbie“. Dobywa miecza, ojciec również; po krótkiej walce Michał pada zabity.

Jak błyskawica przebiegły sygnały po górach, gdy Konstantyn zapalił stos. Otorgul w zasadzce stracił życie. Po bitwie u stosu znaleziono ciało Michała. Sądono, że legł z ręki podjazdu tureckiego i w Widyniu posąg mu wzniesiono. Następcą jego mianowano Konstantyna.

Lecz Erinny spadły na nieszczęsnego młodziana. Erinny orestowskie, ścigające ofiarę przez morza i lądy, dniami i nocą. Widmo ojca wciąż staje przed nim i darmo tłumaczy sobie, że zabijając rodzica, uratował jego cześć, że postępując inaczej, byłby zgubił ojczyznę i sławę rodziny. Krew opływa go wszędzie: widzi ją na mieczu i szatach i w czarze z winem. Nocą nieraz zrywa się z pościeli, pada na kolana i w piersi swe za pokutę twardym kamieniem uderza.

Erinny jak zawsze wiodą tan w koło niego, z rozpuszczonym kruczym włosom i pochodniami w ręku.

Spostrzegają wreszcie niepokój i wzburzenie wodza żołnierze; zdziwienie ich i nieufność wzrosły, gdy Konstantyn, zamieniwszy dotychczasową walkę odporną na zaczepną, wywiódł ich równie na klęskę. Zaczynają podejrzewać go o zdradę. I w chwili, gdy król Stefan bierze młodzieńca w obronę, gdy chcąc dowieść

— W takim razie, czemuż nie wyspowiadał się przed twoją inteligentną a współczującą duszą.

Kobieta wzdrgnęła się znowu tak silnie, że szklanki z herbatą zabrzęczały na stoliku.

— Boże, jakże jesteś naiwny, jak kolosalnie naiwni są wszyscy mężczyźni!

A potem:

— Przecież chcę spokojnie o tem z tobą pomówić. Bo teraz muszę wyspowiadać się przed kim, kiedy on nie żyje. Muszę mieć kogoś, co stanie między mną a nim, żeby już nie mógł zbliżyć się do mnie. Bo musisz wiedzieć, że jak taki raz odejdzie, to wraca ciągle... znowu i znowu.

— Doświadczyłaś tego już przedtem.

— Tak doświadczyłam tego przedtem i doświadczam tego znowu. Najpierw są to tylko oczy... zjawiają się nagle przedemną, spoglądają na mnie i mówią, a wypowiedzieć nie mogą tego, co pragną. A potem przesuwa się cały człowiek koło mnie, jak cichy prąd powietrza. Ale najczęściej są to jedynie oczy, te oczy z tem czemś niewypowiedzianem na dnie, i każdy drobny szczegół jego postaci, palce u rąk, trzymanie szyi i śmiech, przy którym twarz się nie śmiała. To wszystko staje nagle przedemną, i znika, i już nic niema. Ale te oczy, one zostają i patrzą na mnie, gdziekolwiek idę i co



zauwania względem niego, przyrzeka towarzyszyć mu w walce, występuje oskarżycielka, Bazyliida. Nawet po zgonie męża nie mogąc rozstać się z myślą o koronie, doradziła przyjęcie fermana pasierbowi, a gdy ten propozycję odrzucił, przed królem i jego orszakiem złożyła list sultana, wydarty jakoby Konstantynowi.

Wojska wróciły ze zwycięskiej bitwy, biskup prowadził je na nieprzyjaciela. Nowe trofea i tryumfy. Kipi plac publiczny w Widyniu, wypełnił go lud, oczekując wyroku na Konstantyna. Po wyroku odbędzie się zaraz egzekucja. Król przedtem każe przyprowadzić oskarżonego.

— Czy poznajesz ojca? — pyta. Przez dwanaście lat zasłaniał nasz kraj, aż zginął w jego obronie. Ze zdobytych przezeń armat ulaliśmy mu posąg. Ty, syn jego, zamiast wstąpić w ślady bohatera, zdradę miałeś knować. Oskarżają cię o zbrodnię najstraszniejszą w świecie. To chyba nieprawda, oczyść się, usprawiedliw.

A posąg jeźdźca zbrojnego, Michała Brankomira, opromieniło słońce i czoło ozłociło aureolą. Broń zabłysnęła, jak wtedy, gdy przeciw wrogowi ojciec ją gotował. I błysk ten i światłość w duszy wszystkich otaczały pamięć dawnego wodza. Jedno słowo starczyłoby podsądnemu do uwolnienia się. Ale to słowo padłoby błotem ulicznem na posąg, chmurą na słońce, wstydem na sławę. Ów jeździec runąłby pod jego naciskiem w pył, runąłby strzaskany, rozbity w kawały, zdeptany.

Konstantyn nic nie odpowiedział. Nie chciał być dwakroć ojcobójcą.

Wyrok zapadł okrutny. Ni stos, ni miecz, lecz życie. Uwiązany będzie aż do śmierci u podnóża posągu ojcowskiego, a każdy przechodzień w twarz mu plunąć winien.

Wtedy Milica przez tłum przewija się. O ojcobójstwie nie wie, lecz wie, że Konstantyna kocha i że on nie zdradził. Życie, jakie mu pozostało, nie jest życiem. I z zandrzeza dobywszy sztyletu, który otrzymała ongi w podarku od lubego, przebija mu serce. Potem sobie odbiera życie.

Powodzenie, jakiego doznaje dramat Coppégo na scenie i w wydaniu książkowym (sto dwadzieścia przedstawień w ciągu pięciu miesięcy i piętnaście wydań), słusznie spotkało piękny ów utwór. Mimo formy dramatycznej robi on na mnie wrażenie poematu. Styl jego przypomina wiersz Schillerowski, jak u Schillera nikt w życiu tak nie mówi, a jednak każde zdanie robi wrażenie przyjemne.

Podobnie jak w poemacie epicznym, nie przekraczającym średnich rozmiarów, wykonaną jest w „Pour la couronne“ psychologia

robię, i stanowią jakby jakieś zbliżenie fizyczne, jakby jakiś szept w ucho.

Znowu coś nią wstrząsnęło.

— Boże, jak się nagle oziębiło. Choć do pokoju.

— Nie czuję zimna.

— Wziął ją uspakajająco za rękę.

— Jesteś dziś strasznie zdenerwowana.

— To naturalne. Ale to nic nie znaczy.

Czuję tylko dziś silniej niż zwykle te ukryte nici, co łączą człowieka z człowiekiem. Czuję, że często jedno marne nic rozstrzyga, czy nic się zrywa, i jeden rzuca się w bezdenną głębię, gdy drugi spokojnie, nie zauważywszy nawet tego, idzie dalej. Mam to silne przekonanie, że tak było z Haynaschem...

— Tak, ale czemuż nie mówił, kiedy przecie zaczynałś?

— Czemu?

Długo patrzyła w ciemną ciszę nocy, co zdawała się nieprzezroczystą i czarną i ogarniała ją, nib. gęsta wełniana tkanina. Potem zaczęła wahająco, jakby szukając słów...

— Czemu? powiedziałaś ci to już przedtem. Bo mężczyzna tylko tej kobiecie może się oddać z całą ufnością i bezwzględnie, i bez upamiętania, ze wszystkim, co stanowi może błąd jaki, może plamę, albo jaki rys chorobliwy, albo fizyczny brak, albo wyrzut sumienia, albo zawstydzenie się, albo zbłądzenia z drogi

jednej zwłaszcza osoby — bohatera. Konstantynowi przyglądamy się w różnych chwilach życia: gdy przyprowadza jeńców z pola bitwy, gdy targa się na swe uczucia synowskie i honorowe, idąc podслуchiwać ojca, gdy go zabija i oplakuje. Milica, jako dzieląca z nim główną rolę, wykonana także pełniej. Stefan, Michał, Benko, Bazyliida, wszyscy żywi i prawdziwi, na drugim już stoją planie. Także bardziej poematowym wydaje mi się zakończenie: wobec czytelników usprawiedliwiony Konstantyn, nie jest nim wobec pozostałych przy życiu osób dramatu. Zstępuje do grobu ze swą pozorną hańbą.

Upatrzone przez kilku krytyków francuzkich podobieństwo dzieła Coppégo do Schillerowskiej *Cræstei*, nie jest uzasadnionem. Istnieje tylko pewna analogia w cierpieniach z powodu ojcobójstwa między Orestem i Konstantynem. Konstantyn ginie dla tego, że chce zginąć, że życie dla niego urok straciło, nie, że uderzył w niego topór fatalności. Bliższy on jest czasów naszych, niż greckich.

W. Bugiel.



## Rola kulturalna kobiety.

W mauzoleum kobiecem na wystawie w Chicago, ze stosów gałganków i świecideł wyróżniał się swoją oryginalnością dział etnograficzny indyjski, urządzony przez uczonych z fundacji Smithsońskiej. Umiejętna ręka zgromadziła tam wszystkie dzieła sztuki niewieściego, właściwe okresowi dzikości oraz barbarzyństwa i tem samym przed okiem widza roztoczyła dokładny obraz krzątań i obowiązków naszej dalekiej prababki. Twórcą tego pomysłu był Otis Mason, kurator departamentu etnograficznego w narodowym muzeum Stanów Zjednoczonych, znany od dawna ze swoich prac w zakresie antropologii. Prawdopodobnie wtedy przyszła mu też myśl przedstawienia w książce tego, co unaoczniał przed gośćmi Białego grądu w taki namacalny sposób. Powstało dziełko, traktujące o udziale kobiety w kulturze pierwotnej, a poświęcone „wszystkim białogłowom, które swoim mózgiem lub wysiłkiem mięśni przyczyniły się do postępu w świecie“\*). Praca to po pierwsze popularna, powtórę zaś na wskroś

\* Woman's share in primitive culture. New York u Appletona.

w ciasną przecznicę... i wszystko to, co gnębi go i dręczy, tylko tej kobiecie odsłonić może, która równocześnie mu się oddaje, jemu jedynie...

A ja nie mogłam być jego... o tem przez chwilę zapomniałam. Dla tego wysiadł, jak wzmówiłam twoje imię. Milczał i poszedł dalej. Od tego czasu nie widziałam go więcej... Nie! widziałam go jeszcze raz później. Ale był już całkiem inny, roztargniony i wymuszony. Robił wrażenie, jakby w połowie zdania chciał odejść, a przecież zostawał dalej. Ale w tem pozostawianiu przy mnie już nie było żadnego wypowiedzania się przedemną... Było coś nerwowego w jego głosie, jakby miał do mnie żal jaki...

Z pokoju padał szeroki, ciepły snop światła na balkon. Służąca wniosła zapaloną lampę i postawiła ją na stole. Światło padało na stare tkaniny rozwieszane po ścianach, na biurko mahoniowe, o cienkich, toczonych nogach, na gałęzie bukowe i ogarnęło miękkim dotknięciem sztych przedstawiający „Wyspę śmierci“ Böcklina.

Mężczyzna i kobieta przeszli z balkonu do pokoju.

— Może ty masz i słusność, może on już wtedy postanowił odebrać sobie życie.

— Prawdopodobnie.

Siadła na szeslongu, a głowa jej o krętych włosach opadła na dół.

amerykańska. Zwłaszcza to ostatnie piętno rzuca się w oczy. Autor żyje w społeczeństwie, gdzie płęć żeńska jest par excellence warstwą wykształconą na humaniorach i do tego uczestniczącą oddawna w życiu publicznem swojej ojczyzny. Skutkiem tego w dziele Masona niema owego kwaśnego rutynizmu, który rad jest, kiedy uda mu się przypiąć łatkę prądowi emancypacyjnemu, ani też naiwnie różowego optymizmu, biorącego ideał przyszłości za istniejącą rzeczywistość. Etnograf waszyngtoński uznaje słusność żądań, stawianych przez kobietę, acz jednocześnie uświadomił sobie, że uprzednie wieki w niej samej zasiały ziarno przesądów, które stają na drodze urzeczywistnianiu owych dążeń. Ameryka wychodzi na jaw nawet w powierzchowności książki: w mnóstwie rysunków, które świetnie ilustrują myśl autora. W ich wyborze uwidatnia się pomysłowość zamorska. To przed okiem przesuwają się pierwowzór karyatydy, to znowu Najad — kobiety indyjskie podczas pewnych zajęć. Czytelnik tem samem dochodzi do wniosku, że postacie mitologiczne swoją nawet postawą ujawniają własny rodowód, mianowicie, iż są przeniesieniem do mitu istotnych stosunków i położenia. Nadmieniliśmy, iż praca O. Masona jest dziełem popularnem, przeznaczonem dla ogółu szerokiego. Ale nie zapominajmy, że książka przystępna, napisana przez takiego badacza, jak etnograf zamorski, który życie całe spędził wśród zbiorów kultury indyjskiej i ciągle ma do czynienia z poszukiwaniami bezpośrednio, przedstawia bezwarunkowo większą wartość naukową, aniżeli olbrzymia kompilacja uczonego, czerpiącego całą mądrość z ręki drugiej. Tamten nadając swoim wywodom formę jak najdostępniejszą, zawsze wnosi wiele nowego i oryginalnego. Tak dzieje się w dziele Masona. Z tego powodu zatrzymamy się nieco szczegółowiej nad zasadniczymi punktami książki o udziale kobiety w kulturze pierwotnej.

Pierwszy podział pracy w społeczeństwie ludzkim, to podział zajęć pomiędzy obupłciami, wynikający z odkrycia ognia i sposobów jego krzesania. Podstawę tego różniczkowania stanowi odmienna przyroda fizyczna mężczyzny i kobiety: pierwszy z natury swojej jest żywołem ruchliwszym. Jego obowiązkiem stało się dostarczanie zwierzyny i obrona plemienia, tymczasem kobieta zajęła się dopilnowaniem ogniska. Nasz pradziad polował i wojował i co za tem idzie ulepszał te sfery techniki, które są w związku z wymienionemi czynnościami, natomiast niewiasta objęła w swe posiadanie zakresy działalności, pokrewne wspólnemu obowiązkowi. Podczas niższych okresów rozwoju kulturalnego płęć mężka była warstwą wojowniczą, żeńska zaś to klasa pra-

— Już teraz nie dręczy go nic. Ale mnie pozostawił to dręczące uczucie, że może potrzeba było tylko nieco delikatniejszego ucha — tylko o milimetr innego ruchu ręki, a byłby żył. A byłby żył tem życiem człowieka, co śmierci zajął w oczy i powraca do zdrowia. A kto raz wydarł się z ramion śmierci, żyje jakby raz drugi — wśród nowych dziwów świata. A cóż jest przyczyną śmierci ludzi? To, co sobie wyobrażają, co wzmówili w siebie, co jakby błędne koło ich otacza, z którego niema potem ratunku i niema wyjścia. I to doprowadza ich do samobójstwa, a ludzie łamią sobie głowy, co mogło być przyczyną ich śmierci. Wpadli w wiarę swoich autosugestyj i im bardziej wydostać się z nich chcieli, tem wpadali głębiej. Rozglądali się w koło i szukali pomocy. Dziwiono się ich ruchom niezrozumiałym i trwożnym drżeniom. Aż wszystko się skończyło... I znowu jeden... Położyła się na szeslongu.

— A teraz daj mi papierosa i nalej herbatę. Wypijemy ją razem.



ucująca i przemysłowa. Wszystkie pola produkcji dzisiejszej są płodami z nasienia, przez nią po raz pierwszy posadzonego. Ona to bowiem poznaje sztukę uprawy roli, techniki kucharskiej i młynarskiej, oraz wznosi pierwsze domostwa, ona to w ciągu dalszym odkrywa tkactwo i koszykarstwo, oprawia skóry, garbuje je i stwarza umiejętność zawodu rymarskiego, lepi pierwsze garnki, jest górnikiem, tragarzem i mnóstwo innych działów pracy prowadzi. Mężczyzna w najpierwszym okresie dziejów jedynie mordował i uganiał się za zwierzyną, jego zaś towarzyska krzątała się około ugruntowania naszej władzy nad kapryśnicą przyrodą. Rutynicznych mędrków, którzy najczęściej myślą swoją po za własny nos nie sięgają i na podstawie wąskiego doświadczenia z paru ostatnich wieków lub z życia próżnującej i zwyrodniałej damy, odmawiają mózgowi kobiecemu wszelkiej twórczej inicjatywy, odesłałbym właśnie do studwów nad historią kultury, ażeby przypatrzyli się, co zdziałał umysł żeński w ciągu pierwszych szczebli rozwoju społecznego. Nie mężczyzna to bowiem, ale właśnie kobieta położyła pierwszy kamień węgielny pod cały gmach dzisiejszej techniki naszej. Pierwotnie jedynie dozorczyń ogniska, do najpierwszego swego obowiązku zwolna przyłączała wciąż nowe zakresy działalności, doskonaliła je i rozszerzała, aż póki wreszcie nie nadszedł przewrót i mężczyzna nie przywłaszczył sobie jednego zajęcia po drugim, pozostawiając swojej towarzysze dozorowanie tylko kuchni i nianiczenia potomstwa. Trudno zapuszczać się w szczegóły, jak odbywał się ów rozwój i jak z prostych umiejętności z biegiem czasu tworzyły się coraz bardziej złożone, chociaż książka Masona zawiera w tej mierze mnóstwo oryginalnych poglądów.

Natomiast podkreślić musimy wciąż powtarzane przez etnografa waszyngtońskiego zdanie, jako w żaden sposób nie należy mniemać, że nasza daleka prababka była niewolnicą, z którą obchodzono się jak z bydłem jucznym. Mason słusznie mówi: „Założenie to na wskroś opaczne, że jakkolwiek odmiana zwierząt zdołałaby wytrwać i istnieć, wśród której systematycznie ciemniono jedną połowę — matki. Zgodnie z prawem wyzycia najdzielniejszego, szczep ludzki, w którym istniałaby brutalność tego rodzaju, po prostu stoczyłby się w przepaść i wreszcie musiałby zniknąć z powierzchni globu ziemskiego“. Autor, opierając się na dobrze sobie znanych faktach życia indyjskiego, dowodzi, że grubiaństwo ze strony mężczyzny zjawilo się wśród barbarzyńców rasy czerwonoskórej dopiero pod wpływem wzorów cywilizacji europejskiej i ilekroć z niem się spotykamy, tyle razy możemy być przekonani, że mamy do czynienia z najwymowniejszym dowodem rozkładu społeczeństwa pierwotnego. Zdaniem Masona, biadogłowa podczas dzikości i w okresie barbarzyństwa jest istotą samodzielną i niezależną. Klasyczne podania o amazońskich stanowią jedynie wyidealizowanie tych stosunków, które na drobną skalę wszędzie istniały w postaci zaczątkowej: „Młoda Eskimoska, uchodząca za piękność, dobrze zbudowana fizycznie i zdolna pod względem umysłowym, trzymała zdala od siebie młodzież meżką. Mówiła, że jest podobnie silną jak oni i może sama polować na jelenie i żywać sieci. Posiadała własną broń, którą kupiła za dochody ze swojego łupu myśliwskiego. Nie życzyła sobie spełniać robót kobiecych, przekładając te zajęcia, które zwyczaj przeznaczyl mężczyźni. Zimą nawróciła na swoją wiarę inne dziewczę, nie tak atletycznie zbudowane. Wzniosły one dom własny, tam mieszkaly, postępując na przekór całej opinii publicznej rodaków. Razu jednego, kiedy były na polowaniu, obrażona gromada zburzyła ich chaty. Ale poddały się one dopiero następnego roku, wracając do zajęć właściwych płci swojej.“ Albo inny przykład. Ekspedycja amerykańska odkryła zimną samotną chatkę w pustej preryi i tam znalazła jedynie kobietę. Wzięta do niewoli przez wrogie plemię, uciekła, ale zabłąkała się w drodze. Zbudowała więc szałas, w którym przeżyła przeszło pół roku, nie oglądając ani

jednej twarzy ludzkiej. Utrzymywała się z polowania, zbierania płodów i bynajmniej nie cierpiała głodu; wyprawa znalazła w jej domku nawet obfite zapasy żywności. Dzieje jej to powtórzenie dosłowne historii Robinsona, który znalazłszy się jako rozbitek na samotnej wyspie, musiał własnym rozumem próbować wszystkich kunsztów. Różnica ta tylko, że owa pustelniczka lepiej żywiła się i ubierała i nie zasnęła tylu niepowodzeń. Rzecz wydaje się po prostu niemożliwą, a przecież jest zgoła naturalną i powszechną w pierwotnym byciu. Nasza nieufność wypływa z tego, iż zapatrzeni w widnokręgi cywilizacji, która wypaczyła kobiety, nie możemy pojąć wzorów odmienaych.

Zasluguja też na bliższą uwagę wywody etnografa amerykańskiego o roli, jaką odegrała kobieta w procesie kształtowania się pierwotnych pojęć kosmicznych. „Życie każdego narodu — powiada O. Mason — odzwierciedla się w jego mitologii. ta zaś z kolei znajduje swoje wyjaśnienie w pierwotnej historii danego ludu. Życie pewnej rasy lub epoki odbiło się w jej wierzeniach i kulcie. I jedno i drugie łatwo najlepiej zrozumieć, studyując życie powszednie danego plemienia. Co zaś do kobiety, możemy z góry postawić ogólne twierdzenie, iż codzienne życie płci żeńskiej na ziemi będzie też codziennem życiem kobiet świata duchowego. Jeszcze więcej, bo znając boginie, na tej podstawie możemy odtworzyć byt kobiety w tem plemieniu, czyją mitologię badamy“. Autor twierdzi z całą stanowczością, że gdziekolwiek w pierwotnej religii jest kwestya o wychowaniu dziatwy, o utrzymaniu i wykarmieniu szczepu ludzkiego, o pieczy nad ogniem i domem, wreszcie o tkactwie, przemyśle i mądrości praktycznej, tam wszędzie występuje na jaw żywioł, właściwy atmosferze kobiecej. Odpowiednio do obowiązków, spełnianych w życiu codziennem społeczeństwa przez kobietę, umysł pierwotny wyobrażał sobie w postaci żeńskiej te osoby świata nadprzyrodzonego, które spełniały w nim analogiczne czynności. Wszystko n. p., co dawało ludziom utrzymanie, porównano z kobietą matką.. A zatem ziemia jest macierzą, bo jak powiadają żużycy, z jej łona wydobywają się wody podobnie jak mleko z piersi kobiety, „mięso“ zaś jej dostarcza pokarmu ludziom i zwierzętom. Bóstwa rolnictwa są równie płci żeńskiej, jako też różne upostaciowania pod formą ludzką wszelkiej rośliny. Słońce w pojęciach człowieka pierwotnego, n. p. u Australczyków, bywa kobietą: ściślej — jest to niewidzialna kobieta, trzymająca w ręku zapaloną pochodnię i przyświecająca ziemi; kiedy zanadto weźmie drzewa, wtedy płomień bucha żywszym blaskiem i zład powstają gorąca letnie. Z mitologią wiąże się mocno rozwój mowy ludzkiej. Mason równie na tę sferę rzuca dość ciekawe światło — ze stanowiska udziału kobiety w tej sprawie. Wypowiada on zdanie, zyskujące dzisiaj pomiędzy etnografami amerykańskimi coraz liczniejszych zwolenników. Idzie mianowicie o genezę języków. Jak wiadomo, wśród rodu ludzkiego spotykamy mnóstwo rodzin lingwistycznych, z których każda rozpadła się na mniejszą sub większą ilość odmiennych języków. Lingwistyka do ostatniej chwili uważała je za wynik zróżniczkowania mowy pierwotnej, n. p. języki aryjskie powstawały w ciągu wieków z takiej mowy praaryjskiej pod wpływem naturalnego wzrostu różnic początkowo drobnych. Powell i inni etnografowie amerykańscy spostrzegli tymczasem, porównyując słowniki języków tej samej rodziny lingwistycznej na lądzie Nowego Świata, że posiadają one mnóstwo źródłosłów, właściwych tylko jakimś jednemu plemieniu, nie spotykanych zaś nawet w żadnym języku innej rodziny. Naturalnym tokiem wywodów doszli oni do przekonania, że są to szczątki po wygasłych rodzinach, jako wysepki w obcym dla siebie żywiole. Zwolna wysnuli teorię, przypominającą zapatrywania Penki na aryjską rodzinę językową. Mianowicie mowa pierwotna różniczkowała się nietylko drogą wzrostu drobnych różnic, ile przez to, że pewne plemię, rozszerzając się ze swych siedlisk, pochłaniało inne i odpowiednio zmieniało mowę swoją skutkiem wsiąkania innych. Mason przyjmuje tę

hypotezę, tylko że stara się ją uzupełnić, każąc kobiecie być właśnie główną sprawczynią tego przebiegu. Między innymi usiłuje poprzeć swoje założenie faktami, zaczerpniętymi z prac nad dziejami mowy aryjskiej. Wykazuje, że zasób wspólnych językom aryjskim źródłosłów odnosi się do pierwotnego zakresu działalności kobiecej.

K.

## NA WYŁOMIE.

(Zródło irytacji. — Napaść. — Niezręczny grzesznik. — Apł do prasy)

Zaledwie po krótkiej przerwie podjąłem znowu walkę „na wyłomie“, czuję się otoczonym starą atmosferą brutalnej nienawiści, która jak dzuma grasuje po kraju i jak owe mityczne ptaki, nie mogąc pochłonąć ofiary, kałem ją obrzuca...

Nie spodobało się organowi duchowieństwa naszego, że nietylko w najpoważniejszych czasopismach Królestwa i Galicyi, lecz i w niemieckich miejscowych i zamiejscowych organach rzucano od czasu do czasu nie kamienie lecz kwiaty na głowy „Młodych“ na poznańskim bruku i zaliczano ich organ do wybitniejszych publikacji piśmiennictwa narodowego. Zdawało się redaktorom „Kuryera“, że gdy w sklepikowych okienkach swoich wywieszają dokument potępienia i śmierci dla znieawidzonego „Przeglądu“, to obowiązkiem naszym umrzeć natychmiast, a społeczeństwo całe od morza do morza i od krańców północy do granic południa błogosławić będzie ich wyrok i klątwę swoją zmiesza z ich przekleństwem. Stało się inaczej. Dziecko, któremu już w łonie matki wrócono śmierć nieuchronną i nad kołyską wyśpiewano tak straszne dziwy, że przerażone pokojówki wypowiadały służbę rodzicom jego, wyrosło zdrowo na pożytek ojczyźnie i z dnia na dzień zdobywa sobie ludzkie umysły i serca. Więc zakipiła krew w fabrykantach świętomarcińskich eksoreyzmów i posypał się grad kalumnii eksplodujących nietylko na bruku poznańskim lecz wysyłanych ręką usłużnych inkwizytorów do Warszawy i Krakowa. Jednej z nich, skompromitowanej publicznie przez prośbienie redakcji „Słowa“, wyparła się redakcyja „Kuryera Poznańskiego“, lecz zapomniawszy snąc o niedawnem komedyanctwie „skrzywdzonej niewinności“ zamieszcza obecnie w łamach własnego pisma drugą edycję tej samej kalumnii. Proszę posłuchać.

W jednym z czasopism berlińskich pojawił się artykuł, powtórzony następnie przez kilka innych dzienników niemieckich, p. t. „Die politischen Parteien und ihre Presse“. Jest to pobieżna ocena dziennikarstwa polskiego, w której między innymi takie dla nas wystawiono świadectwo: „„Przegląd“ ma znakomitych współpracowników w każdej dziedzinie polityki, literatury i sztuki i z tego powodu zażywa w kraju i zagranicą szacunku wszystkich inteligentnych kół polskich“.

Dalej zaś:

„Wielkie pisma poznańskie, które mogłyby odegrać hegemoniczną rolę berlińskich dzienników, nie wnoszą się nad poziom miernych niemieckich piśmików prowincjonalnych; jedyny wyjątek stanowi „Przegląd Poznański““.

Takie uznanie dla organu zwalczającego stale wybrki Kuryerowego lojalizmu, rzuciło popłoch w kadry klerikalnego stronnictwa i oto bez namysłu wydobyto z arsenału dziennikarskiego ulubiony granat oszczerstwa, aby zburzyć ten szaniec narodowy, któremu nawet wrogowie nie odmawiają szacunku. Granat pęka i z wnętrza swojego wyrzuca frazes następujący:

„Przysięgać na to nie możemy, że stanął pewien rodzaj kartelu między prasą szowinistyczną niemiecką a „Orędownikiem“ i „Przeglądem“, ale pozory przemawiają za tem“.

Miałbym ochotę zawołać z Byronem: „Ile się zmieści kłamie! nazwą to zrzecznością.“



Oszczerstwo wszelkie ujdzie wam za dowcip, — ale słowa genialnego lorda mierzyły w serce wirtuozów dziennikarskiego bandytyzmu, wszystko zaś co z redakcyi „Kuryera“ wychodzi nosi na sobie nieśmiertelne piętno łapy złej ale — niedźwiedziej. Grube, ciężkie, niezgrabne i ordynarne gra na klawiszach grzechu bez finezyi Mefista i pochodzi chyba z inspiracyi owych nieczystych duchów, którzy w piekle trudnią się — rąbaniem drzewa. Jedno tylko zadziwiać musi ludzi bezstronnie myślących, że duchowna kontrola tolerować może tak — dyletancką robotę. Pisma klerykalne nauczyły nas wprawdzie, że szukać w ich łamach etyki z latarnią Diogenesa jest straconym trudem, — ale w tej potężnej armii spotykaliśmy właśnie artystów występku, rafinowanych mistrzów kalumnii, — tu zaś na poznańskiej latorośli Jezuityzmu siada stado krzykliwych gęsi i wron pospolitych. Do licha! Jeżeli już ogłosiliście w redakcyach waszych wyrok banicyi na aniołów, postarajcie się o wirtuozów grzechu, — jeżeli już odmawiacie nam przyjemności zachwycania się kwiatami enoty chrześcijańskiej, to pokażcie nam róże i chryzantemy fałszu zamiast ordynarnych łątów i zielska...

Tak! Kamienie oszczerstw „Kuryerowych“ nie są w stanie uśmiercić nikogo w opinii, bo padają z ręki nieudolnej, ale rzecz inna, gdy zjawisko to rozpatrujemy ze stanowiska etyki i psychologii. Złodziej rozbijający siekierą zamknięte wrota a rzeźmieszek otwierający żelazną szafę misternym wytrychem, to w oczach komisarza policyi przedstawiciele dwóch różnowartościowych kategorii. Jeden ma rutynę i talent, drugi ich nie posiada, jeden zatem dla bezpieczeństwa publicznego jest groźniejszym niż drugi, — ale etyk psycholog rozpatrujący występki pod kątem instynktów ludzkich i zamiarów takiej różnicy nie uznaje. I dla tego „Kuryer Poznański“ może być pośmiewiskiem wrogów swoich, może służyć za przedmiot ironii, gdy mrówkę chce ziemią zasypać a mrówka nie ginie lecz drogę sobie toruje i na światło boże wygląda, lecz pozostanie typem dziennikarskiego rozkładu, typem człowieka — ruiny. Upatrzonym ofiarom nie wydzwoni on śmierci, ale obniża powagę prasy i demoralizuje publiczność, która codziennie nieomal spogląda zdziwioniem i oczyma, jak „królowie opinii“, „apostolowie“ i „mistrze narodu“ frymarczą prawdą i honorem, — a w końcu dziwić się przestaje. Czyż my publicyści mamy prawo żądać szacunku i posłuszeństwa, gdy lada indywiduum z pod ciemnej gwiazdy rzucić nam może cyniczne słowo: Rycerze obłudy! Czyż mamy prawo leczyć choroby społeczne, gdy nasz własny organizm dotknięty zarazą, bakterye sieje wokoło. Lekarz myje ręce nim rany pacjenta się dotknie, a my z lepkiemi od brudu palcami pragniemy odgrywać rolę chirurgów! I jak się tu dziwić, że nieufność do prasy rośnie z dnia na dzień, gdy ona właśnie staje się rozsądnikiem fałszu i oszczerstwa! A niechaj nikt nie sądzi, że uogólniam tu wyjątkowe fakty i podnoszę do znaczenia epidemii to, co zaledwie sporadycznym objawem dziennikarstwa nazywać się może. Nie twierdzę bynajmniej, aby cała prasa poznańska spadła do poziomu „Kuryera Poznańskiego“ — nie! takiej klęski los nam nie zgotował — ale to mnie przeraża, że liczba symptomów patologicznych rośnie z dnia na dzień, i to mnie boli, że grono uczciwszych dziennikarzy nie zdobędzie się na protest energiczny, że ciszą przyjmuje każdą kalumnię pod cudzym — nie własnym — wysłaną adresem. Dla przeciętnego tłumu najmiłszą jest dyskusya, w której drgają struny ludzkiej drapieżności, i paradyzowy okłask ten zyskuje, kto mistrzem jest w plotce złośliwej i jadowitej obmowie; te same instynkty grają w prasie naszej, bo najmiłszem tam widowiskiem, gdy na kolegę-dziennikarza ktoś szaflik błota wyleje. Wtedy to rozpoczyna się w redakcyach zacieranie rąk i cytowanie napaści z akompaniamentem śpilkowych dowcipów, a od biurka do biurka leci krzyk radosny, że „kolegę zjeżdżili“. O tem, że obowiązkiem prasy byłoby powołać do porządku rzeźmieszków pióra, o tem, że milczenie prasy rozzuchwala napastników, nie wspomina

dekalog dziennikarskiego koleżeństwa. Gdy przed kilku miesiącami w oficynie Kuryerowej ukuto oszczerstwo, że „Goniec Wielkopolski“ pobiera „niemieckie srebrniki“ za artykuły swoje, my jedni napiętnowaliśmy źródło kalumnii, — a „Dziennik Poznański“, nestor dziennikarstwa, naczynie wszelkich cnót chrześcijańskich, miał tylko milczenie oficjalne i uśmiechy satyra — na stronie. Prawda! Tam „Stary testament“ króluje — bij mu pokłony narodzie!

Sulla.

## KRONIKA LITERACKA.

Więzienna praca księdza Stojałowskiego. Rok cały odsiadując ciężkie więzienie cieszyńskie za sprawę ludu, użytkował ks. Stojałowski te przymusowe ferie na napisanie obszernej pracy „O kwestyi socyalnej“, którą w najbliższym czasie poda do druku, a z której dochód przeznaczony na ochronkę polską w Cieszynie. Rzecz cała będzie się składała z trzech rozpraw, mianowicie: 1) Duchowieństwo i lud. 2) Kwestya socyalna ze stanowiska chrześcijańskiego. 3) Upadek Galicyi pod względem etycznym i politycznym. Jak z przysłanego nam prospektu widać, dzieło będzie zawierać mnóstwo ciekawych kwestyi. Przedpłata wynosi na wszystkie te trzy książki 5,10 marek. W prospekcie tym pisze ks. Stojałowski:

„Kwestya socyalna jest kwestyą „chleba i życia“ — kwestyą „bytu odpowiadającego wzniesłemu przeznaczeniu, godności i nieodbitym potrzebom człowieka“ — kwestyą wreszcie „ściślej sprawiedliwości“ — a zatem nie usuną jej żadne półśrodki i zewnętrzne plasty, ona sama w sobie musi być załatwioną gruntownie i rychło.

Na zachodzie rządu, uczeni, mężowie polityczni, duchowieństwo — i każdy myślący człowiek zajmuje się kwestyą socyalną, bada ją i studjuje — u nas, a zwłaszcza w Galicyi, nie ma ani jednego gruntownego dzieła, nawet ani jednej wytrawnej napisanej broszury o tej najważniejszej i najżywotniejszej dziś sprawie. Nawet w dziennikarstwie kwestya ta, najbardziej piekąca, albo zgoła nie bywa poruszana, albo na szarym końcu w pobieżnych, często stronniczych wzmiankach o ruchu socyalnym.

Stąd ten zamęt i chaos, który gnębić musi każdego, kto sprawę dokładniej badał — i trwożyć o przyszły los naszej społeczności.

Z powołania i zamiłowania zajmując się od lat wielu kwestyą socyalną, która per excellentiam jest kwestyą ludową, zabierałem się dawno przedstawić ją treściwie i popularnie, dla pożytku polskiej publiczności, wszakże zawód dziennikarski był zawsze ku temu nieprzełamaną przeszkodą, bo jak wiadomo, pisarz gazety ludowej u nas, niezawisły i o własnych siłach stojący, musi nie tylko być redaktorem, ale wszystkim, a wskutek tego na wydanie obszerniejszej pracy ani czasu, ani funduszy mieć nie może.

Obecnie, na przymusowe skazany wakacye, pragnę skorzystać z czasu i oddać przysługę, jak sądzę potrzebną i pożądaną polskiej publiczności, ogłaszając drukiem owoc długoletnich badań, doświadczeń i rozmyślań.“

\* \* \*

O Janie Kasproviczu. Znany poeta warszawski Adam Lange zamieścił w Nr. 34 i 35 „Przeglądu tygodniowego“ obszerną ocenę najświeższego tomu poezyi ziomka naszego, dziecka kujawskiej ziemi, Jana Kasprovicza. Najwyższe pochwały oddaje krytyk znakomity poematu p. t. „Przy szumie drzew“, ogłoszonemu częściowo w „Przeglądzie Poznańskim“ zanim ukazał się w zbiorowym wydaniu. Lange mówi:

„Zdaje mi się, że nic piękniejszego nie napisał Kasprovicz nad poemat: „Przy szumie drzew“. Jakies technienie shelleyowskie, jakies echo Epipsychidyona przenika ten utwór. Osobno mówić będę o jego formie, najtrudniejszej ze wszystkich w języku polskim, o wierszu białym, który tu płynie w zieleni lasów, w zapachu kwiecica, w symfonii drzew, śpiewających jakąś pieśń prastarą, w milczeniu dwojga dusz płynących ku sobie, w promieniach spojrzeń, rozto-

pionych w sobie nawzajem, w uderzeniach serc, tęskniących za harmonią, w pocałunkach czystych i świeżych, jak owo technienie lasu, który im szumi i śpiewa i kołysze ich do pieśni seraficznej... To koncert!

Tu powiedziec można: „Ecce poeta!“

Niezmierne poczucie żywej natury jest cechą główną Jana Kasprovicza. Dusza koloru każdej trawy, dusza zapachu wszystkich kwiatów, dusza gędbi każdego drzewa (bo każde drzewo szumi inaczej) — to wszystko pokrewne mu dusze, znane mu oddawna, życzliwe i przyjazne. I zlewa się on z niemi — na sekundę, czy na wieczność — sam tego nie wie; przestaje być sobą, cały byt jest w nim — przez nią... Bo z jej oczu, z jej serdecznego technienia, z jej szeptów, które go w nieskończoność prowadzą — płynie to rozszerzenie jego ducha...“

Nr. 23 „Monitora“ (Lwów) wyszedł i zawiera: W sprawie wyborów. — Agitacya biskupia. — Konsolidacya partyi ruskich. — Akcyja przedwyborcza w Drohobyczu. — Nasze życie towarzyskie. — Nielogiczność krytyki nowoczesnej w Galicyi. — Z podnóża Tatr. — Niebo i piekło (wiersz). — Zapiski.

## KRONIKA POWSZECHNA.

\* Wiadomości społeczne i polityczne. Mowa cesarska na festynie sudańskim w Berlinie, zawierająca pobudkę do walki z socjalizmem, powitana została entuzjastycznie przez prasę zachowawczą. W ślad za cesarzem rozpoczęły wszystkie pisma konserwatywnego kierunku kampanię przeciw socjalizmowi. — Naprężenie między chrześcijanami a Turkami w Armenii rośnie z dnia na dzień. Walka mordersza zdaje się być nieuchronną. — Nihilizm w Rosyi daje znać, że żyje. Sądzono powszechnie, że udało się do szczytu zdusić stroniectwo rewolucyjne, w ostatnim jednak czasie policya wpadła w Odesie na ślad rozgałęzionego spisku, świadczącego o żywotności partyi nihilistycznej. — Z Wiednia donoszą do gazet niemieckich, że utworzono tam już nowe stałe ministerstwo i to bez zbyt wielkich trudności. Nowi ministrowie obejmą swe urzędy z dniem 1 października. Prezesem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych został hr. Badeni, ministrem oświaty dr. Gautsch, ministrem skarbu dr. Biliński, sprawiedliwości hr. Gleispach, handlu Exner, rolnictwa Zedwitz, obrony krajowej hr. Welsersheimb. Oprócz tego zostało jeszcze utworzone osobne ministerstwo robót publicznych i urzęd ten powierzono p. Marchwickiemu, byłemu marszałkowi lwowskiej wystawy krajowej.

\* Teatr i muzyka. Teatr lwowski, kierowany umiejętnie przez znanego komedyopisarza Z. Przybylskiego, zapowiada na sezon zimowy „Hanusię“ Hauptmanna, „Sismondę“ p. Sardou, nową sztukę dyrektora samego p. t. „Historya jakich wiele“ i t. d. — Warszawianin Henryk Melcer otrzymał w Berlinie na konkursie Rubinsteina pierwszą nagrodę w sumie 5000 mrk. za kompozycyę p. t. „Fragment koncertowy“. — Stanisław Graybner wykonał nową sztukę p. t. „Marya Estera“. — Teatr poznański rozpoczyna swój sezon „Mazepą“ Słowackiego. Rolę Amelii odegra p. Paszkowska. — Stary przyjaciel sceny poznańskiej, utalentowany artysta Królikowski, zaniemógł ciężko na zdrowiu i wskutek tego do składu trupy naszej zaliczony nie został. — Warszawski teatrzyk „Nowości“ wprowadził na scenę nowy utwór p. t. „Kaśka Karyatyda“. Jest to przeróbka z powieści tego samego tytułu (Gabryeli Zapolskiej).

## Odpowiedzi Redakcyi.

S. S. „Jehowy“ zamieścić nie możemy. Prosimy o inne próbki.

Józefowi. Dziękujemy za informacje o intrygach „senatora“ i dzielnej odprawie udzielonej mu przez młodego lekarza. My się nie dziwimy ani reakcyjnym dążnościom ani fałszywym blaskom prowincjonalnej powagi, bo wiadomo, że kolor czerwony drażni indyki, napuszone pawie i jeszcze inne rogacie stworzenia, — wiadomo także, że Heinowskie słowa „Noch immer schmückt man den Schweinen bei uns mit Lorbeerblättern den Russel“ posiadają dziś może więcej jak ongi dźwięk prawdy bolesnej.

St. A. w Wagrowcu. Postaramy się, aby sprawę opóźnionej odpowiedzi poruszono na walnem zebraniu. Co do warunku, stawionego przez dyrekcję „Pomocy Naukowej“, to zdaje nam się, że słuszności odmowy mu nie można. Szczerstwo wymaga nie tylko nauki, ale talentu, — ztąd żądanie, aby Szan. Pan dostarczył świadectwo majstra, wykazujące odpowiednie zdolności, uważamy za usprawiedliwione.

## Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli: J. G. z Warszawy 5,40 mrk. Ogółem dotychczas zebraliśmy 751,40 mrk. O dalsze składki prosimy gorąco.